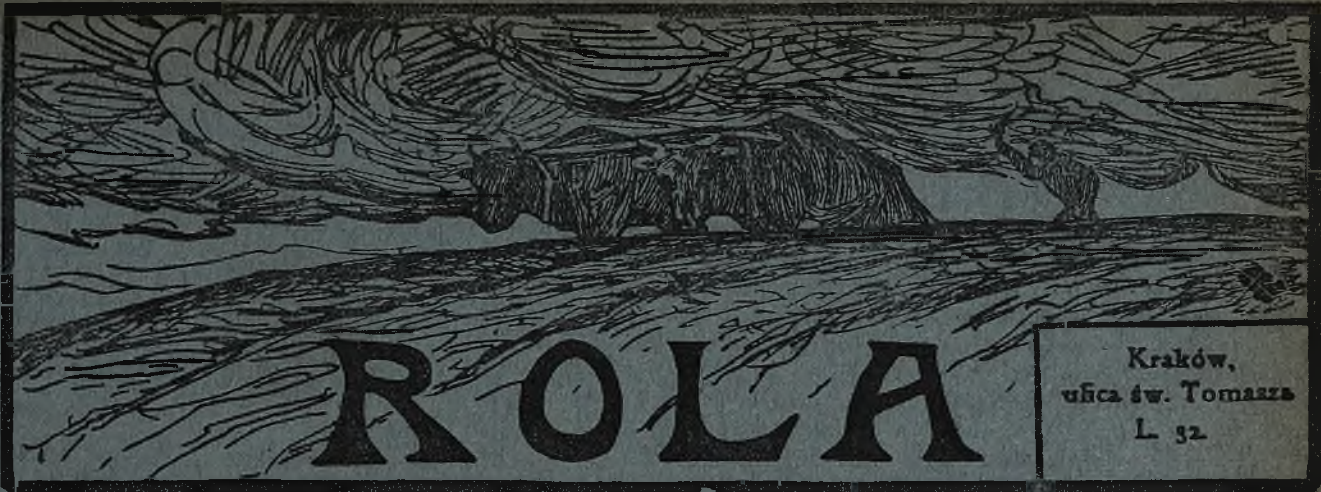
**Numer 11.** Należ. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 15 Marca 1931**




ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Ostrożny pasażer.**

W przedziale wagonu kolejowego jedzie kilku podróżnych, zajętych czytaniem gazet. Ciszę przerywa jąkała, siedzący w kącie, zwracając się do swego sąsiada z prawej strony, jegomościa podtatusiałego w tabaczkowym garniturze:

— Prze-prze-przepra-szam pa-na, k-która teraz je jest godzina?

Zagadnięty spojrzał nienawistnym wzrokiem na pytającego, nie dając żadnej odpowiedzi.

— M-m-może mi pan po-powie, k-k-która go godzina? — ponowił pytanie jąkała, wpatrując się w dużą dewizkę od zegarka, wystającą z kieszeni tabaczkowej kamizelki sąsiada.

Żadnej odpowiedzi. Zaciekawieni pasażerowie odłożyli gazety.

— Czy nie-nie do-dowiem się o-od pa-pana gogodziny? — spytał po raz trzeci rozsierdzony jąkała, a nie otrzymawszy i tym razem odpowiedzi, dodał: — To-to-to je-jest świ-świństwo! — co rzekłszy, odwrócił głowę w stronę okna.

Jeden z pasażerów zaintrygowany tym epizodem, zwraca się dyskretnie do jegomościa w tabaczkowem ubraniu i spoglądając na dewizkę od zegarka, pyta półgłosem:

— Dlaczego mu pan nie powiedział, która jest godzina?

— Ja-ja nie-nie g-głupi w z-zęby do-dostać, ja-ja się te-te-też ją-jąkam — wyksztusił chytrze zapytany.

---

— Dałaś mi, żonusiu, szwajcarską koszulę.
— Skąd wiesz, że to szwajcarska?
— Bo zadużo dziur.

**W sądzie.**

S ę d z i a: Gadajcie no, Maciorek, jak to było z tem rozbiciem głowy Kaczorkowi?

M a c i o r e k: Ano, tak: Jak siedzi pan sędzia, siedział Kaczorek, a tak, jak stoję ja, tak stałem przed nim ja. Teraz niech mnie pan sędzia wyrżnie zdrowo w ucho, a już ja panu sędziemy na pana sędziego głowie pokażę, jak to rozbiłem łeb Kaczorkowi.

**W wojsku.**

Generał bada stopień wyszkolenia rekrutów i pyta jednego:

— Jak ja się nazywam?

Rekrut milczy.

— No, musicie przecie wiedzieć, czem jestem i jak mnie nazywają.

Rekrut milczy.

— Kto słyszał, jak mnie nazywają? — zwraca się generał do reszty.

— Ja.

— No?

— Starą mantyką.

**Podczas kłótni domowej.**

M ą ż: Dawniej słuchałaś mnie, — dziś zrobiłaś się jakaś niepodległa.

Ż o n a: A Polska nie słuchała dawniej aż trzech, a dziś co? Też niepodległa.

Numer 11. Rok XIV. Kraków, dnia 15 marca 1931.

# ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Prenumerata** na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

**Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301.** Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

## Wielki Post.

Te »Święte czterdzieści dni« są najpoważniejszym czasem w roku kościelnym. W nim to według myśli Kościoła ma się odrodzić wewnętrzne życie wiernych. Jak w przyrodzie ziarno dopiero wtedy przynosi plon, gdy w ziemi obumrze, tak samo Bóg rzuca niejako, jak ziarno, Syna Swego w chwili Wcielenia na ziemię, by po okrutnych mękach oddał życie na spłacenie długu ludzkości względem Boga, a przez to wysłużył ludziom chwałę Zmartwychwstania.

Kościół życzy sobie, aby wierni należycie skorzystali z owocu męki Zbawiciela i szczególnie w tym czasie stara się skłonić ich do pokuty, do pojednania się z Bogiem, urządzając teraz zwykłe misje, rekolekcje i inne ćwiczenia pobożne. Przepisany post pomaga najlepiej do owocnego zastanowienia się nad sobą. Jako środek modlitwy i pokuty jest post znany i praktykowany u wszystkich narodów świata.

Pan Bóg, jak wskazuje historja biblijna, zawsze wysłuchiwał modlitwę, połączoną z umartwieniem i postem. Trwały takie posty zwykle 40 dni. Mojżesz przygotowuje się do odebrania Dziesięciorga przykazań, Eljasz przed wzięciem do nieba, Daniel przed objawieniami pościli po 40 dni. Chrystus Pan też do dzieła odkupienia przygotowywał się czterdziestodniowym postem. Na tę pamiątkę Kościół ustanowił post obecny. Wierni w nim mają zachować od środy Popielcowej włącznie do południa Wielkiej Soboty z wyjątkiem niedziel post ścisły, polegający na codziennie trzykrotnem przyjmowaniu posiłku z potraw postnych, z których tylko jeden posiłek obiadowy może być do sytości.

Kościół jednak, stosując się do obecnej słabości ludzi, udziela bardzo rozległego zwolnienia od postu, a zwolnienie to ogłaszają corocznie ks. biskupi publicznie, albo można je uzyskać u własnych duszpasterzy.

Celem postu jest umartwienie ciała. Dlatego wzbronione są publiczne zabawy, gry, tańce, wesela, jako niezgodne z duchem czasu. A natomiast Kościół ustanowił liczne nabożeństwa, w czasie których wierni mogliby zapomnieć o znikomościach świata.

Niedziel wielkopostnych jest sześć. Mają one specjalne swoje nazwy. Pierwsza wstępna zwie się „Invocavit“ od słów, rozpoczynających Mszę św.: „Wezwał“. Druga: Sucha nazwana od suszenia czyli poszczenia. Trzecia: Głucha, gdyż dawniej od tej niedzieli milkły już dzwony. Czwarta: Środopustna oznacza połowę ubiegłego postu. Piąta jest niedziela Męki Pańskiej. Od niej szczególniej Kościół rozpamiętywa Mękę Zbawiciela. Na znak smutku i żałoby pokrywa się krzyże i obrazy fioletowemi zasłonami. Ostatnia niedziela nosi nazwę Palmowa lub Kwietnia. Palmowa od poświęcanych w dniu tym palm, Kwietnia od wieńców i kwiatów, noszonych dawniej podczas procesji obok palm. Ewangelje święte, przepisane na te niedziele, wskazują wiernym, jakim duchem w czasie Wielkiego Postu mają być ożywieni.

W czasach dawnych Wielki Post był w Polsce bardzo przestrzegany tak, że przez całe czterdzieści dni nie używano nawet nabiału, a w Środę Popielcową i Wielki Piątek nie jedzono zupełnie gotowanych pokarmów. Obecnie Kościół św. daje jak najobszerniejsze dyspenzy od postu, mając na względzie upadek sił fizycznych u teraźniejszego społeczeństwa. Trzeba jednak choć ten uproszczony post koniecznie zachowywać.

# Cecora.

Powieść historyczna.

Szanowano, czczono i kochano panią Reginę Żółkiewską.

Jasinowski przyjechawszy z Halszką do Żółkwi, rozejrzał się szybko w sytuacji i do dawnego humoru a myśli dobrych powrócił.

Na zamku zastał — babieniec. Ani jednego kawalera, ani jednego Plichty! jak w duchu do siebie szepnął. Tamten się będzie z Turkiem borykał, a Bóg wie, kto kogo weźmie, czas zaś najlepszym jest medykamentem na dolegliwości wszelkie, jeżeli zaś coś i wionęło do głowy dziewki, to i wywietrzeje szybko, a gdy pozyska dla siebie względy hetmanowej i przekona ją do siebie, to już jak nic dożywotnim opiekunem Halszki będzie mógł pozostać.

— Babieniec! jak Boga kocham babieniec — śmiał się, całując ręce pani Żółkiewskiej i rozzierając się dokoła.

— Jesteś waść teraz w swoim żywiole — uśmiechnęła się Żółkiewska.

— Znów na urzędzie wojskiego, jaśnie wielmożna pani hetmanowo. Nieszczęście to, widać już mi jest przeznaczone od Opatrzności samej.

— Nieszczęście?... — zapytała Zofka Daniłłowiczowa.

— Potrzeba nam waćpanu podziękować za to — dodała Kasieńka Koniecpolska.

I obie skłoniły się Jasinowskiemu, a Tośka klasnęła w łapki i zaczęła skakać.

— Nieszczęście! nieszczęście! nieszczęście! — wołała śmiejąc się do rozpuku, jakby cokolwiekbądź rozumiała z tego.

— Cicho, skowronku! — odezwała się hetmanowa, zatulając buzię pieszczotce.

— Wytłómaczę się jemość paniom moim, zaraz się wytłómaczę... — rzekł Jasinowski.

— Słuchamy — odezwały się panie obie.

— Ile wojen rzeczpospolita w pamięci mojej prowadziła, tyle razy urząd wojskiego brałem na siebie i setkami białogłów opiekowałem się. Mając tyle niewiast pod sobą, żadnej nie mogłem znaleźć dla siebie. I w tem jest nieszczęście!...

— Nieszczę... — zawołała Tośka i chciała w dłoń klasnąć, ale pani Regina znów ją za buzię złapała.

— To dowodzi, że waćpan uczciwie swój urząd spełniałeś — odezwała się Zofka.

— Tak, nie inaczej!... Ale czas już i o sobie pomyśleć.

— Teraz! — odezwały się obie panie.

— Teraz? — pisnęła Tośka.

— A ty mucho!... — zaśmiała się hetmanowa.

— Skowlonek, babciu. Tośka skowlonek, ale nie mucha!... — odpowiedziała z powagą Tosieńka.

— Nie czas może? — rzekł Jasinowski.

— Będziemy swatkami waćpana — odezwały się razem prawie Zofka i Kasieńka.

A hetmanowa dodała:

— Pomyślę i ja o waćpanu.

Jasinowski zwrócił się do hetmanowej i krzyżując ręce na piersi, chciał jej ze słodkim podziękować uśmiechem, ale w tem wyprostował się, spojrzał w drzwi i nagle zapytał:

— A to kto taki?...

Przez próg przestąpił młodzian lat dwudziestu dwóch, o włosach jasnych, rozrzuconych na ramiona, a równo na czole uciętych. Strój miał jakiegoś trubadura wędrownego, obcisły a szyty z materji błękitnej, nad biodrami świecił wąski pas złoty, a u szyi biała śnieżyła się kreza. Oczy miał duże, błękitne, z których bojaźń patrzyła, chód niepewny, lękliwy, na ustach smutek i jakaś gorycz rozlana. Spojrzał na Jasinowskiego i cofnął się o pół kroku, spojrzał na pannę Małgorzatę — i skłonił się, spojrzał na Halszkę — i oczy nagle ku ziemi opuścił, a twarz szkarłatnym rumieńcem się oblała.

— Jerzyk!... — pisnęła Tośka i skoczyła do przybysza.

— Kto to taki? — spytał znów Jasinowski, niepokojąc się coraz bardziej.

— Zbliż się, chłopcze — odezwała się hetmanowa.

Młodzieniec się zbliżył, Żółkiewska przedstawiła mu swoich gości.

— A on co za zacz? — nalegał Jasinowski.

— Weźcie panny między siebie chłopaka — odezwała się hetmanowa, do córek i do Halszki się zwracając — a on wam pokaże, co umie.

— Co on umie? jaśnie wielmożna hetmanowo! — pytał Jasinowski.

— Pójdziemy z nim na wirydarz — odezwały się wszystkie młode panie i panny, milczała tylko Halszka, patrząc na onieśmielonego i rumieniącego się wciąż młodzieńca.

— Już i na niego ślipa! — mruknął Jasinowski.

— Na wilydarz, pójdziemy na wilydarz! — wrzeszczała Tosia w dłonie bijąc.

Nagle zwróciła się do Jerzyka i zapytała:

— A dudkę wziąłeś?

— Wziąłem — odpowiedział szeptem.

Ujął Tośkę za dłoń i usunął się na bok przed wesoło idącemi paniami.

Halszka wzięła pod rękę Marynkę Daniłłowiczównę, z którą odrazu pokochały się — i wyszły. Została hetmanowa, Małgorzata i Jasinowski, zaniepokojony bardzo.

— Co to za młodzieniec, jaśnie wielmożna hetmanowo, co on umie i co to za dudka? — pytał pan Symforjan.

Żółkiewska pomyślała chwilę.

— Syn kmiecia — rzekła po namyśle.

— Ten — ten — ten...

— Tak!

— ...Paniczyk?

— Jak widzicie.

— Cham?

— Jako i my, tej ziemi syn. To źle, że przywilejów nie mają.

— Jaśnie wielmożna hetmanowo, w czem a w czem, to w tem się pokłócimy.

— O nie, bo sprzeczać się z waszmością nie będę, jeno powiem, kim on jest i co tu robi, bo o tem waszmość wiedzieć chciałeś? Czy tak?

— Słucham!

— Przed laty, podczas jednej z wypraw mojego męża i pana, gdy bawił we Świńczy pod Rzeszowem, pan mój spotkał wróżbiarkę jakąś, która mu wiele a wiele przepowiadała rzeczy pomyślnych, wreszcie rzekła: „Jeżeli zobaczysz wojska ogniste, na niebie się potykające — to koniec twój!...“ *)

Umilkła i mimowoli wzrok obróciła ku oknom.

— I co? — spytał Jasinowski.

— Od tylu lat... Boże mój! od tylu lat — gdy on jest na wojnie — obserwuję niebo... Każda łuna

*) Historyczne.

mnie trwoży, każda czerwień na tych błękitach przeraża, bo a nuż zobaczę mocujące się potęgi ziemskie, ogniste miecze i konie i wozy ogniste!... Ale Bóg dał, że nie dostrzegłam ich dotąd i teraz nie widziałam...

I znowu wzrok obróciła ku oknom.

— Cóż dalej, dobrodziejko moja — cóż dalej?

— Mój mąż wróżbiarkę tę, która się nazwała Sonką Swinczańską, hojnie wynagrodził, a ona uprosiła go, by jej wolno było przybyć do Winnik i tu zamieszkać. Ale, ale — waszmość nie wiesz może, że miejscowość, dziś Żółkwią zwana, dawniej Winnikami nazywano?

— Jak nie wiem! — zawołał Jasinowski. — Wżdy przed laty dwudziestu Winniki od jaśnie wielmożnego hetmana dzierżawą trzymałem.

— Przepomniałam o tem — prawda! — rzekła pani Regina. — Owa Swinczańska zamieszkała tutaj.

— Żywie dotąd?

— Tak, żywie.

— Muszę i ja podybać do niej i o pewną wróżbę popytać — mruknął Jasinowski. — Ale — dodał głośniej — jaką spólność ma ona Swinczańska z tym chłopem?

— To syn jej.

— Syn?

— Czego się waszmość dziwisz?

— Gdyby nie jaśnie wielmożna pani a dobrodziejka moja to mówiła, nigdybym nie uwierzył. Do grzecznego kawalera podobien, a gładkość na gębie ma taką, jakby rodu chamskiego cale nie był.

— I mnie to nieraz dziwno!... lecz chyba przyrodzenia pytać potrzeba, dlaczego jest tak a nie inaczej.

— Jużci, że przyrodzenia, ale skąd taka ogłada u chłopa tego?

— Posłuchaj waść cierpliwie do końca, a dowiesz się. Swinczańska zamieszkała tutaj, a wkrótce potem zachorzał nasz Jaś, jedyna i ostatnia podpora domu Żółkiewskich. Wezwano doktorów ze Lwowa i Krakowa, sam król, pan nasz miłościwy, medyka swojego przysłał, lecz żadne leki nie pomagały i w Bogu już tylko pozostawał ratunek. Nagle przychodzi Swinczańska, a widząc jaka rozpacz w domu i ból i łzy — do kolan mi się skłania i tak mówi: „Nie pomogli medycy różni, ni medykamenta różne — pozwól wielmożna pani, że ja pomogę!“ „Ty?“ — pytam. „Znam się na ziołach — poszepcę i już!“ Może nie uczyniłabym tego w dzień inny, bo bałabym się złego ducha, ale tu Jaś w febrze leży, a medyk królewski mówi: „Niema rady — niech szepce!“

Otrzymała więc pozwoleństwo spólne, stanęła nad kolebką i szeptać zaczęła, przez trzy nitki skrzyżowane wodę ciepłą przelewając. Potem obłożyła całego zioły wonnemi i znów szeptała na księżyc, który stał na młodziku. Trwoga mnie wzięła, czy ona czasami nie zapomocą złego ducha dziecko mi ratuje. Kazałem się więc jej przeżegnać. Przeżegnała się i to mnie uspokoiło. Nazajutrz Jaś obudził się, osłabiony bardzo, ale z oczkami uśmiechniętemi. Febra go opuściła. Po tygodniu był zdrów. Rozumiesz teraz waszmość, czem od dnia tego była dla nas Sonka Swinczańska? Mąż mój i pan nadał jej gruntu kawał i chatę zbudował. Jerzyka zaś, jako chciała macierz jego, która go tak miłuje, jak ja Jasia, do Lwowa do Jezuitów oddał. Przed tygodniem powrócił i do naszego dworu przystał.

— Dziwne chłopię! — mówiła po chwili hetmanowa. — Patrzy zawżdy przez łzy, a uśmiech nigdy na jego ustach nie postoi. A co do onej dudki, to gra na niej, nie jak pastusze wiejskie, lecz iście rybałt królewski. Słuchamy go nieraz godzinami całemi, tak pieści, głaska po duszy, takiemi słodkościami serce łaskoce.

Nie dokończyła jeszcze słów ostatnich, gdy z wirydarza dały się słyszeć dźwięki ciche a rzewne, drgające łzami i ogromnym smutkiem owiane.

— Słyszysz waszmość? — odezwała się hetmanowa.

Jasinowski nadstawił uszu. Żółkiewska o dłoń się wsparła i słuchała. Panna Suproniczówna nawet położyła robotę na kolana i wzdychać zaczęła. A dźwięki fujarczane perliły się, rozsypywały, nanizywały serca słuchaczów na tęsknot sznur złoty i wzdychać i płakać i skarżyć im się kazały.

Na wirydarzu, oparty o głaz kamienny, stał Jerzyk i grał. Zofka i Kasieńka siedziały na schodach zamkowych, opodal Marynka i Halszka, a przy samym grajku Tekla stała, poważna, zadumana, wpatrzona w twarz Jerzyka, osłoniętą mrokiem wieczoru. Nie zauważył nikt, jak i stary Bekas podszedł, zatrzymał się na uboczu, o szablę się wsparł i zasłuchał. Tu i tam z okien zamkowych wysunęły się dworki, z za muru, okrążającego wirydarz, pojawiło się kilka twarzy wąsatych — wszystkich przyciągnęła pieśń Jerzyka, tak inna od wszystkich innych pieśni.

A oto księżyc się podniósł duży, czerwony i blaskiem łagodnym oświecił twarze słuchaczów i grajka.

Ciche westchnienie wybiegło z piersi Halszki, uniosła nieco głowę i wpatrzyła się w księżyc.

W myśli jej stanął Plichta.

Dwa dni temu jak wszedł ten sam księżyc, tak samo duży i tak samo czerwony, gdy progi domu jagodynieckiego przestąpił rycerz nieznany. Jednak serce jej uderzyło z mocą dziwną i odtąd bije z tąż samą mocą, jeno już nie takie same, nie tamto dawne, spokojne serce!... Przypomina sobie każde spojrzenie Plichty, każde słowa jego i radość i ból, gdy o miłowaniu mówił, z tem umiłowaniem walcząc. Niestatecznikiem się nazwał i psem i prosił o post i o koronkę do Przemienienia Pańskiego. O! ona ją odmawia codziennie, z bólem w duszy, z rozpaczą w sercu, bo czuje, że to serce on już zabrał, lecz jeszcze swojego nie dał. I przypomniało jej się pożegnanie ostatnie, pochód wojska, które szło na bój krwawy, a z niem poszedł i on!... Żegnała go krzyżykiem złotym i szeptała słowa:

— Wróć, wróć — a umiłuj Halszkę!

I teraz, patrząc na ten księżyc, który gdzieś stepy dalekie i wojsko całe i jego oświetla, szepce:

— Wróć, a umiłuj!...

W oczach błysnęły łzy.

Jerzyk wzrok podniósł, spojrzał na Halszkę — i nagle grać przestał.

Nikt nie przerywał milczenia; grały jeszcze echa ciche, senne, uderzając o załomy murów zamkowych.

Jerzyk się skłonił i zniknął w cieniach drzew i krzewów.

Teraz dopiero zaczęto pytać: „Gdzie on? gdzie?...“ — lecz nikt nie zauważył, którędy wyszedł.

— Jerzyk będzie mój mąż — odezwała się Tośka i powiedzeniem tem przerwała nastrój poważny.

Pan Baltazar podszedł i skłonił się paniom.

— A to ci gra, chamska dusza, że aż serce skwierczy, jak sadło na patelni — odezwał się.

— A patrzcie ino, ile to głów w oknach i poza murami — dodała Koniecpolska.

— Cała załoga żółkiewskiego zamku na podsłuch się zebrała, bo ci gra, nieprzymierzając, jak jakie dziwo zamorskie — dokończył Bekas.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Autorska recepta.

(Humoreska.)

Gdy pod nosem ukazał mi się nareszcie długo oczekiwany meszek, pomyślałem o wyborze zawodu, któryby mi zapewnił nietylko bułkę z masłem, lecz również zaspokoił wymagania „dobrego tonu".

Po długich medytacjach zdecydowałem się zostać literatem. Śpiesznie zacząłem myśl zamieniać w czyn: pogalopowałem więc do księgarni, nabyłem librę papieru, butlę atramentu, pudełko piór i powróciłem do swego pokoiku na strychu.

Przeżegnawszy się, nakreśliłem na pierwszej stronie ogromnemi kulfonami: „Romans w dwóch tomach". Odnalezienie zaciekawiającego tytułu odłożyłem na później. Radość moja z powodu tak gładkiego początku nie miała granic. Cóż kiedy dalej, ani rusz, nie wiem z której beczki zacząć. Zadumałem się. Nagle stuknąłem palcem w czoło:

— Czy ktoś sporządzi eleganckie lakierki, nie przypatrzywszy się pierwej mistrzowi kunsztu szewieckiego? A przecież wymyśleć treść romansu, to także nie byle co. Trzeba więc udać się do dobrego literata po konieczne wskazówki.

Na szczęście przypomniałem sobie przypadkowo usłyszany adres płodnego autora, więc ochędożywszy się odpowiednio, udałem się doń natychmiast. Powieściopisarz przyjął mnie dość grzecznie:

— Z zasady lubię popierać młode talenta — rzekł na wstępie — staje mi jednak na przeszkodzie brak czasu. Właśnie mam zamiar pisać powieść, przy tej sposobności udzielę panu parę dyrektyw.

W trakcie tej przemowy obserwowałem bacznie gabinet pracy. Zdumiała mnie prostota miejsca, w którem ten genjusz przyjmuje odwiedziny muzy: duży, zawalony papierzyskami stół, na nim maszyna do pisania, gruby słownik, kubek z kostkami i karty do gry, krzesło, karafka z wodą i szafka ciemna z książkami dopełniały umeblowania pokoju.

— Obiecujący młodzieńcze — rzekł mentor — staraj się jaknajwięcej wchłonąć w siebie wiedzy. Autor musi znać wszystkie dziedziny, by móc dziś dać sylwetkę warjata, jutro na Marsa pożeglować lub kazać swemu bohaterowi ożenić się nieszczęśliwie — z miłości. Nie potrzebuje jednak pan całej mądrości wyprać na blachę, wystarczy bacznie obserwować życie, oraz często zaglądać do encyklopedji. No, ale czas upływa, muszę zrobić plan mej powieści.

— Pan może mi ociupinkę pomóc.

Podsunął mi uprzejmym ruchem słownik, wyjaśniając:

— Początek jest podwaliną utworu, decyduje o jego ukształtowaniu... Chcę go wam, młody kolego, pozostawić. Otwórzcie książkę na chybił trafił i odczytajcie wyraz, jaki się nawinie pod oczy.

Uczyniłem wedle wskazania; wynikiem mych usiłowań było słówko: jaśmin.

Oczy mistrza rozbłysły radośnie; czułem jak umysł twórcy zaczyna intensywnie pracować. Z wesołem wykrzyknieniem zwrócił się do mnie:

— Wspaniały początek — pan rzeczywiście posiada talent.

Przysunął bliżej maszynę do pisania, założył papier i zaczął stukać nerwowo klawiszami, mówiąc głośno:

— Jaśmin, zerwany troskliwą dłonią w ogródku, roztaczał naokół subtelną woń, łagodząc ciężką atmosferę pokoju... i działał kojąco na rozgorączkowane czoło...

Genjalny autor wydobył z talji trzy karty.

— Patrz, pan: król, dama, młódka — mąż, żona, córka. Teraz wyciągam jedną z nich: król, a więc mąż. Dalej:

...rozgorączkowane czoło chorego, spoczywającego bezwładnie na łożu boleści. Był to...

Gwałtownie wywrócił kubek z kostkami.

— Osiemnaście oczek! Jest to już starzec, choroba zniszczyła klasycznie rzeźbione rysy. Mamy osnowę pierwszego rodziału, trzeba go jeno zakończyć.

...I nieubłagana śmierć przecięła pasmo żywota, nie bacząc na rozpacz pozostałych...

Autor wpadł wprost w ekstazę; zazdrościłem mu tej siły twórczej, co go ożywiała. Raz jeszcze wziął kubek z kostkami:

— Obecnie chodzi o rzecz najważniejszą: czy pozostał majątek?

Kubek potoczył się majestatycznie, czując zapewne swą możną władzę kierownika, bohaterek powieści.

— Trzy oczka tylko! Nędza. Wdowa sterana nieszczęściem, niezdolna do pracy. Młodziutka córka po długich staraniach zostaje modniarką. To zainteresuje kobiety. Właściciel magazynu zakochał się na zabój w uroczej pracowniczce. Wprost szaleje za nią. Lecz jego matka (czarny charakter w powieści) staje temu na przeszkodzie. Intryguje. Wmawia w syna, iż ukochana go zdradza. Ten z rozpaczy puszcza wiele pieniędzy na kokoty. Magazyn stoi w obliczu bankructwa. Od krachu ratuje nasza bohaterka, komponując nadzwyczaj pomysłowy kostjum, który damom bardzo się podoba, tak, że zaczynają wszystkie na gwałt kupować. Obroty handlowe wzmagają się kilkakrotnie. Właścicielka rozwiązuje intrygę. Ogólna radość. Uroczysty finis: Nowopoślubieni małżonkowie udali się samolotem w podróż naokoło świata.

Podziękowawszy gorąco literatowi za cenne informacje, pośpieszyłem do domu, by zaraz zużytkować receptę.

Otworzyłem na los szczęścia słownik i odczytałem: łopuch. Fortuna niezbyt mi sprzyjała: rok cały mordowałem się, nim napisałem romans. Długi czas następnie zmarnowałem na bezskutecznem poszukiwaniu wydawcy. Chciałem spróbować szczęścia w dramacie. Tym razem znalazłem w słowniku: rycynus. Po trzech ledwie latach zdołałem uprosić amatorów sceny w małej prowincjonalnej dziurze, by odegrali moją tragikomedję w pięciu aktach z prologiem i epilogiem. Cóż kiedy na pierwszem zaraz przedstawieniu część publiczności ziewała, a część to była nawet tak bezczelna, iż zażądała zwrotu pieniędzy. Widocznie nie mam talentu. Porzuciłem więc niewdzięczną literaturę, a chwyciłem się zyskowniejszego znacznie zajęcia — kamieniarstwa.

*Czesław Wośkowski.*

# Ostatnia Wieczerza.



My, zwykli śmiertelnicy, rozważając życie, mękę i śmierć Pana Jezusa, nieraz zapytujemy się siebie, dlaczego tak się stało, a nie inaczej? Przecież Pan i Stwórca wszelkiego stworzenia mógł niejedno inaczej zarządzić, mógł, jeżeli już nie uniknąć wszelkich cierpień, to przynajmniej sobie je złagodzić, aby nie były tak straszne, tak bolesne, tak okrutne, tak, zdaje się, niczem nie wytłomaczone.

Tak, mógł to zrobić, ale nie chciał, bo chciał, aby ofiara Jego była rzeczywista, aby była najstraszniejsza, jaką sobie rozum ludzki może wymyślić, aby była odpowiednia do tego celu, do jakiego miała służyć. Musiało się to spełnić wszystko, co się spełniło, bo tego sam Bóg chciał.

Wiedział też Pan Jezus, że wyda Go żydom jeden z Jego uczniów, a mimo to nie odtrącał od siebie Judasza, jak nie odtrąca i dziś żadnego z grzeszników, którzy starają się po tysiąc razy ponownie wydać Go na męki krzyżowe.

Kiedy Pan Jezus z uczniami zasiadł do ostatniej wieczerzy, obmył Apostołom nogi i ustanowił Najświętszy Sakrament, odezwał się do Apostołów:

— Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że jeden z was wyda mnie!

— Ażalim ja Panie? — pytają strwożeni Apostołowie, spoglądając jeden na drugiego, nie wiedząc, o kimby mówił.

— Który umacza ze mną rękę w misie, ten mnie wyda. Syn człowieczy idzie, jako napisano o Nim, ale biada człowiekowi, przez którego Syn człowieczy będzie wydan — dobrzeby mu było, aby się był nie narodził on człowiek.

A Judasz, jakby niewiniątko jakie, jakby nic o niczem nie wiedział, pyta przymilnie:

— Ażalim ja, Mistrzu?

— Tyś powiedział — zabrzmiało zgrozą potwierdzenie Pana Jezusa, ale tak cicho, że tylko Judasz je usłyszał.

Ponieważ św. Jan siedział tak blisko przy Panu Jezusie, że Go mógł ręką objąć, skinął nań św. Piotr i szepnął:

— Kto jest, o którym mówi?

— Panie! Kto jest? — prosi ulubieniec Chrystusa, oparłszy głowę o piersi Jego.

— On jest, któremu ja umoczony chleb podam...

I Jezus, umoczywszy chleb w misie, dał Judaszowi, a potem dodał:

— Co masz czynić, czyń rychlej.

Judasz wstał i wyszedł z pośpiechem z wieczernika. Dokąd pobiegł? Oczywiście, że do Faryzeuszów, bo wiedział, że Pan Jezus tej nocy miał pójść na górę Oliwną, aby się tam modlić. Sposobność do wydania Chrystusa w ręce Rady żydowskiej nadarzyła się zdrajcy znakomicie.

Gdy Judasz wyszedł, rzekł Pan Jezus do Apostołów:

— Wszyscy wy zgorszenie weźmiecie ze mnie tej nocy, albowiem jest napisano: „Uderzę pasterza i rozproszą się owce, trzody". Lecz gdy zmartwychwstanę, uprzedzę was do Galilei...

— Choćby się wszyscy zgorszyli z Ciebie, ja nigdy się nie zgorszę — oświadcza z zapałem św. Piotr.

— Zaprawdę powiadam ci — brzmią prorocze słowa Mistrza — iż tej nocy, pierwej niż kur zapieje, trzykroć się mnie zaprzesz...

— Choćby mi z Tobą przyszło umrzeć, nie zaprę się Ciebie — zapewnia Apostoł, ufny w swe siły i miłość ku Jezusowi.

Tak mówił święty Piotr, a przecież zaparł się Pana Jezusa, tak mówimy i my często przy św. spowiedzi, a ileż razy już zaparliśmy się Go? Ale, jak św. Piotr przypieczętował męczeńską śmiercią miłość swą ku Jezusowi, tak i my powinniśmy ją przypieczętować kiedyś śmiercią pojednani z Bogiem i pełni łaski Bożej.






# MACIEK BZDURA GADA:

Nieraz myślałem se, lacego ani u nas we wsi, ani w kraju nie jest tak dobrze, jakby być powinno. Przychodziły mi różne myśli na myślenie, ale zadna śnich nie wydawała mi się prawdziwa. Bo przecie ani chybi, ze kuzdenby chciał, zeby jemu było dobrze, a inksem niech tam będzie, jak tam chce. I kiedym se tak pomyślał, tom ino dwa kilometry był od prawdy. Bo wiadoma rzec, ze bez wyjątku wszyscy ludzie chcą, aby jem było dobrze i to się jem chwali, ale powinni oni chcieć zarazem, zeby nie ino jem było dobrze, ale i wszyćkiem inksem ludziom na ziemi, wtedy nie ino tem inksem będzie dobrze, ale i tem, którzy chcieli dla nich dobrze.

I powiadam wam: Psu na budę z takiem politykiem, który chce, aby ino robotnikom było na świecie dobrze; psu na budę takze z takiem, który pragnie, zeby ino chłopom dobrze było na ziemi i psu na budę, który troscy się tylko o panów i fabrykantów, a o inksem narodzie wcale nie myśli. Dobry polityk powinien chcieć i tak robić, aby wszyćkiem ludziom w kraju było dobrze. Bo jak będzie na świecie dobrze chłopu, to się i robotnik u niego pozywi, jak będzie dobrze robotnikowi, to on więcej za jajca i zimniocki chłopu zapłaci i poratuje go na płacenie podatków, jak będzie dobrze fabrykantowi cy dziedzicowi, to niejeden hudzina u niego prędzej zarobi i prędzej la siebie coj nieco grosa uciuła. Dziad-chłop nie sprzeda nic robotnikowi, bo nie będzie miał nic do sprzedania, dziad-robotnik nie kupi nic u chłopa, bo nie będzie miał za co, nie zarobi robotnik dobrze u dziada-fabrykanta, ani chłop u dziada-dziedzica. Dobrze będzie ino wtencas w kraju, gdy będzie wszyćkiem dobrze.

To jest jeden powód biedy w świecie, ze kuzden chce ino la siebie dobroci, a o inksych się nie troscy.

A drugi powód to jest taki, ze duzo ludzi cy to w kraju cy to we wsi, są nie tem, cemby być powinni, ale właśnie są tem, cem być nie powinni. Naprzykład taki nas wójt jest wójtem, a powinien być harendarzem, albo zydowskiem parobkiem. Nas wójt rozumie się na gorzołce, wie kiedy jest mocna, a kiedy słaba, lubi się z nią codzień bawić, byłby więc z niego dobry harendarz. Nas wójt, jak wszyćkie chłopy pedziały, ze nie chcą mieć we wsi karcmy, to on tyle robił, jaz postawił na swojem, ze do dzisiok karcma we wsi stoi, a w karcmie siedzi zyd za synkfasem, a przy stołach wójt i panowie rada.

Abo mamy z drugi wsi jednego gospodarza posłem. Okrutecny radykał, na wszyćkich psy wisa, wszyćkiem wymyśla, wszyćkich ćmi i cygani, wszyćkiem złote góry obiecuje, a jak przyjdzie co do cego, to za lada stówcynę gębusie stuli i ma gros la siebie na zapłacenie długów wyborcych. Czyzby z niego nie lepsy był handlarz świński? Z pewnością lepsy, niz taki poseł! A jesce powiada do tego, ze go tyknąć nie wolno, bo to śmierdzi kreminałem!

Abo nas organista, który, chodząc po śpiśnem w wielgiem poście, tak umie wywąchać którędy i gdzie jakiej babie kura jajko zniesła, cyby nie był lepsy na takiego, co wącha za złodziejami, jak na organistę?

Abo ta Wikta od Walka Owsionki? Widzieliście ją, kiedy się w niedzielę wystroi, obciętą grzywę, kieby kobyła, wykręci, a ubierze krótką spodnickę, ledwie po pępek sięgającą i idąc, za ciurysami ślepiami strzyla? Znacie ją i wiecie, ze się jej nijak robić nie chce, a ino do próżnowania skora. Bez co ona nie jest hrabiną, albo jakiem insem próżniacyskiem, ale taką komornicą bez chałupy i roli, a zyje z tego, co ją casem boli.

A choćby i ta moja Kaśka naprzykład! Toć ona w sam raz urodzona na plebańską kucharkę. I gęby jej nie brak i w sobie ma urodę, a w pysku to jej i dziesięć nie dorówna. Poco ona ma słuzyć w jakisik Psiej Wólce do krów, kiedyby mogła, jezeli juz nie za plebańską kucharkę, to przynajmniej w jakiem dworze za dobrą pomywackę przy kucharzu być, albo w ostatecnem razie poślicą zostać, toby z nią i w Brześciu weselej było.

Ale u nas w nasem kraju to juz tak jest, ze człowiek nie tem jest, do cego ma zamiłowanie, ale robi to, co robić musi, a przymusony pacierz przecie do nieba nie idzie i niema z niego zadnego pozytku.

Latego na drugi raz, jak się kto z was będzie rodził, to niech się odrazu rodzi tem, do cego będzie miał zamiłowanie, a nie tak na ślepo. Jakby to dobrze było wówcas. Odrazuby się urodziło 444 posłów i poślic, 111 senatorów i senatorzyc, tyle a tyle tysięcy księdzów i kapucynów, tyle a tyle lekarzów i grobarzów, tyle a tyle takich a takich ludzi, a jeno jeden Maciek Bzdura i jedna Kaśka Myrdalonka i byłoby wszyćko w porządku.

# PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Tunis IV.



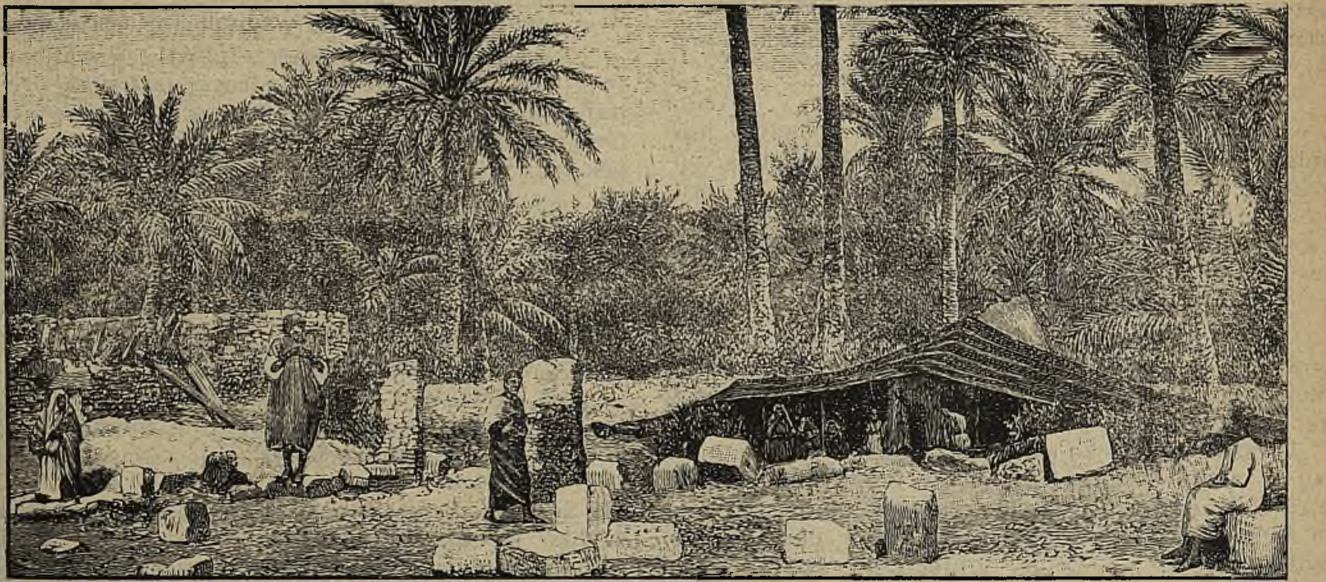
Polowanie w oazie.

Za czasów rzymskich oraz bizantyńskich monarchów Tunetania liczyła do 20 miljonów mieszkańców; dziś cyfra ludności dochodzi tam zaledwie do 2 miljonów, pomimo, iż kraj ten odznacza się bardzo łagodnym klimatem i niezmiernie bogatą roślinnością. Bądź co bądź ośm wieków pod jarzmem islamu nie pozostało bez skutku. Obecnie jednak stosunki zaczynają się tam ożywiać, a ruch handlowy coraz większej nabiera energji.

Cały ruch handlowy skupia się tam w nielicznych miastach, podczas gdy całe połacie kraju pozostają prawie niezaludnione. Są to nieraz olbrzymie przestrzenie, porosłe niezbyt wysoką trawą, na których znajdują się tu i ówdzie oazy przepięknych drzew palmowych. Na obrazkach naszych widzimy właśnie dwie takie oazy. Na pierwszym z nich jakiś myśliwy wybrał się na polowanie i ukryty za drzewem mierzy do upatrzonej zwierzyny; na drugim rodzina tubylców, która wyruszyła w dalszą podróż przez niezamieszkały kraj wśród oazy zbudowała sobie szałas, aby odpocząć w nim, zanim uda się w dalszą podróż. Oaza ta nosi nazwę El-Hamma. Rzymianie nazywali ją Aqua Tacapitanae. Posiada ona piękne ogrody, w których wyrastają liczne drzewa figowe, granatowe, winne latorośle i przeszło 170.000 palm. Cała El-Hammla posiada zaledwie 80 domów, po większej części ładnie zbudowanych i zawierających w swych ścianach mnóstwo starożytnych zabytków. Ludność jej powiększa się jednak w pewnych okresach czasu, a mianowicie gdy koczownicze plemiona rozbiją na skraju jej swe szałasy na czas zbierania daktyli i spędzania trzód, pasących się na południowych brzegach jeziora Szott-el-Fedżedż.

Jak to już zaznaczyliśmy, ludność Tunetanji stanowi wielką mieszaninę. Wśród Arabów uwijają się czarni, jak węgiel, Sudańczycy, Berberowie o jasnych brodach i włosach, oraz nieliczni Europejczycy, po największej części Anglicy w białych kaszkietach i Francuzi ubrani ekscentrycznie.

Do rzeczy prawdziwie godnych w Tunetanji należą punickie cysterny, zrobione przez Kartagińczyków, przerobione przez Rzymian i znajdujące się w pobliżu wybrzeża. Jest ich ośmnaście, każda zaś przedstawia czworobok, mający 30 metrów długości, 6 szerokości i 9 głębokości. Z początku były one prostemi zbiornikami wody deszczowej, później zaś spływała do nich woda z olbrzymiego wodociągu, zbudowanego przez cesarza Adrjana. Wodociąg ten cią-



Szałas w oazie.

gnął się na przestrzeni 132 kilometrów i dzielił na dwie gałęzie, zasilały go zaś strumienie, płynące z Zaghuanu i Dżugaru. Liczne arkady dotąd jeszcze nietknięte zębem czasu, znaczą ślady kolosalnego tego wodociągu. Ponieważ jednak nie wszystkie odznaczają się jednakową architekturą i tenże sam noszą charakter, należy się więc domyślać, że przed wodociągiem rzymskim istniał jakiś wodociąg punicki lub fenicki, który z tym ostatnim następnie połączono. Cysterny, przez długi czas zasypane piaskiem, zostały niedawno temu oczyszczone i zamienione powtórnie na zbiorniki wody, płynącej z Zaghuanu, z tą tylko różnicą, że zamiast wodociągów budowanych przez murarzy, służą zwykle w tym celu wyrabiane rury.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Na bezludnej wyspie.

**Powieść awanturnicza.**

ROZDZIAŁ X.

Noc minęła bez żadnych niespodzianek. Rozbitki zmęczeni wstrząsającemi przeżyciami i trudami dnia, spali tak spokojnie, jakgdyby się byli ułożyli do spoczynku na swych wygodnych łożach w pałacu Kolderup. Z pierwszym brzaskiem dnia, a było to 27 czerwca, zbudziło ich głośne pianie koguta. Godfrey w okamgnieniu uświadomił sobie całą sytuację, gdy Tartelett długo przecierał oczy i prostował zdrętwiałe członki, zanim zorjentował się w swem położeniu.

— Czy dzisiejsze śniadanie będzie podobne do wczorajszego? — były pierwsze jego słowa.

— Obawiam się, że tak — odparł Godfrey. — Mam jednak nadzieję, że wieczerza dzisiejsza będzie bardziej urozmaicona.

Ostatecznie nie pozostawało nic innego, jak zabrać się do tego niewyszukanego posiłku, co też uczyniono. A wtedy Godfreyowi przyszła myśl zupełnie naturalna, że trzeba podjąć wczorajszą podróż odkrywczą. A przedewszystkiem stwierdzić, i to możliwie najdokładniej, w jakiej części Oceanu „Marzenie" się rozbiło. Bo tylko w ten sposób zdołają dotrzeć do jakiejś zamieszkałej części tego lądu, skąd uda się może odbyć podróż powrotną, a przynajmniej dostać się na któryś z przejeżdżających okrętów.

Godfrey miał nadzieję, że potrafi się może zorjentować z wyniosłości drugiego grzbietu wzgórz, których malownicze kontury wyłaniały się nad lasem. Sądził, że w ciągu paru godzin zdoła przebyć dzielącą go przestrzeń, a ponieważ chodziło o konieczność nieuniknioną, więc postanowił bezzwłocznie ruszyć w drogę. Drób znów się rozproszył wśród wysokich traw, skwapliwie poszukując żywności, a króliki, kozy i capy biegały na skraju lasu.

Tym razem Godfrey nie miał już obawy, by cała ta czworonoga i skrzydlata gromada podążyła jego śladem. Niemniej dla większego bezpieczeństwa, poruczył Tartelettowi, by nad niemi czuwał. A profesor bardzo chętnie wyrzekł się męczącej wędrówki, i wolał przez parę godzin dozorować trzodę i ptactwo. O jedno tylko spytał:

— Czy jednak nie zabłąkasz Godfreyu?

— Co do tego, to proszę nie mieć najmniejszej obawy — uspokoił Godfrey — przejdę tylko wpoprzek tego lasu, a poniewać pan się stąd nie ruszy, więc z łatwością się znajdziemy.

Uścisnąwszy rękę profesora, ruszył w kierunku lasu, a niebawem zagłębił się w gęstwinie, poprzez którą z trudem tylko przedzierały się skąpe promienie światła. Kierując się słońce, młody nasz badacz szedł prosto przed siebie, zmierzając ku wzgórzu, którego gzbiet przysłaniał cały widnokrąg wschodni.

Nie było tu ani śladu ścieżki. Wysokopienny las, a mianowicie taras, sięgający od pierwszych gałęzi do najwyższych, służył jako schronienie dla niezliczonych rojów ptactwa: setki dzikich gołębi, orłów morskich, głuszców, arakarów o dziobach przypominających nożyce morskich raków.

Godfrey kroczył przed siebie pod tym zielonym stropem lasu i ani na myśl mu nie przyszło przedsięwziąć jakieś środki ostrożności.

Po dwugodzinnym marszu Godfrey obliczył mniej więcej, że przebył przestrzeń pięciomilową — wobec czego drugie pasmo wzgórz nie może już być daleko. Las przerzedzał się też z każdą chwilą, tworząc pojedyncze grupy drzew, a promienie słońca coraz łatwiejszy znajdowały przystęp. Także grunt stawał się bardziej kamienisty, każąc się domyślać pobliskich skał.

Jakkolwiek dość znużony, Godfrey siłą woli zmuszał się do dalszego marszu. Niewątpliwie byłby nawet przyspieszył tempo, by corychlej stanąć u celu, gdyby strome zbocza nie utrudniały mu pochodu. Niebawem jednak znalazł się na takiej wysokości, że mógł z niej objąć przebytą drogę i spojrzeć na zielony strop, nad którego równą linją górowały tu i ówdzie strzeliste korony drzew. Szybko jednak odwracał oczy, gdyż nie chodziło mu o widoki, jakie pozostawił za sobą. Z wytężeniem natomiast wpatrywał się w nagą ścianę grzbietu, wzbijającego się na jakie 4—5000 stóp wysokości. Ściana ta rysując się ostro na tle horyzontu, stanowiła zaporę, która przysłaniała mu upragniony widok na wschód.

Mały stożkowaty wierzchołek wznosił się ponad zębatą linją grzbietu, tworzącego szereg pagórków.

— Tam... tam...! — mamrotał do siebie Godfrey. — Do tego punktu dotrzeć, a odrazu się zorjentuję!... Oby już stanąć na szczycie tego stożka!... Co stamtąd zobaczę?... Miasto... wieś... pustynię?...

Przyciskając ręce do serca, by stłumić gwałtowne jego bicie, Godfrey wspinał się coraz wyżej.

Nareszcie — kilka jeszcze chwil... a stanie u celu! Ten ostatni kawałek drogi nastręczał jednak największe trudności, gdyż był tak stromy, że Godfrey musiał sobie pomagać rękami, czepiając się kępek trawy i wątłych krzewów mirtu, by się wdrapać na szczyt.

Jeszcze jeden wysiłek... i oto wysunął głowę ponad szczyt stożka, ułożył się na brzuchu, by w tej najwygodniejszej pozycji chciwemi oczymi objąć cały horyzont wód, które w dali łączyły się, zlewały z linją nieboskłonu!...

Odwrócił głowę...

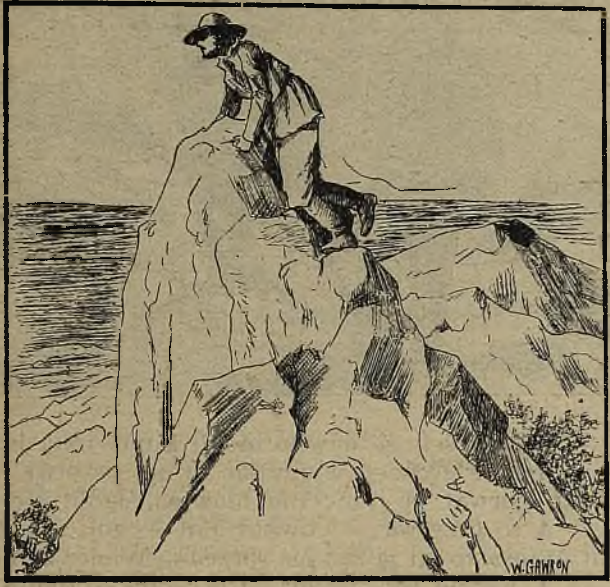
Od wschodu i zachodu, północy i południa morze, zewsząd morze... nieskończone morze, zamykające go ze wszystkich stron!

— Wyspa!

Serce Godfreya zacisnęło się bolesnym skurczem. Szybko jednak się opamiętał. Należy się pogodzić z koniecznością, skoro nic innego uczynić nie można. Z zewnątrz żadnej pomocy oczekiwać teraz nie mo-

że, więc sam sobie musi radzić, w miarę sił i możności.

Przedewszystkiem trzeba się zorjentować co do położenia wyspy, którą z tej wyżyny obejmuje w całej jej rozciągłości. Jaka to wyspa? Do jakiego ar-




Godfrey bystrem okiem obejmował cały horyzont

chipelagu należy? Czy może tylko jest poszczególnym wierzchołkiem jakichś raf podwodnych, często się zdarzających na Oceanie Spokojnym? To pewne, że jak okiem sięgnąć, nie widać żadnej innej, małej czy dużej, wysoko górującej nad powierzchnią morza, czy też niskiej, nieznacznie nad poziom wody wzniesionej.

Godfrey dźwignął się i bystrem okiem obejmował cały horyzont. Nic, nic na całej przestrzeni, aż hen po najdalszą linję, gdzie wody zlewają się poza widnokręgiem, dostępnym oczom Godfreya, to chyba w bardzo znacznej odległości.

— Trudno — pomyślał Godfrey, — skoro nie wiem nawet, jak nazywa się ta wyspa, to nazwę ją Finą, na cześć tej, której nie powinienem był opuszczać, by gonić po świecie. Być może, że imię to jednak przyniesie mi szczęście.

Teraz postanowił zbadać, czy nieznane mu jeszcze okolice wyspy nie są jednak zamieszkałe. Ze szczytu wzgórza nie dostrzegł jednak nic, coby wskazywało na jakieś ślady ludzkich osad.

Ukończywszy smutne obserwacje, Godfrey nie mógł uczynić nic innego, jak opuścić swą wyniosłą pozycję i skróś lasu powędrować z powrotem do Tarteletta. Zanim jednak zaczął zstępować ze wzgórza, raz jeszcze objął wzrokiem cały widnokrąg, by przez chwilę zatrzymać się spojrzeniem na gąszczu wysokich drzew, stanowiących niejako północną granicę łąk. Była to potężna grupa, górująca nad wszystkiemi innemi.

— Może jednak znajdę tam jakieś miejsce, gdzie da się zamieszkać — mruczał do siebie, — co wydaje się tem prawdopodobniejsze, że srebrzy się tam jakiś strumyk, który wypływa zapewne ze środkowego łańcucha gór i szuka sobie drogi przez łąkę.

Sprawdzenie tego odkrycia odłożył na dzień następny.

Od południa wyspa przedstawiała widok bardziej urozmaicony. Lasy i łąki tworzyły barwne tło dla żółtego kobierca piasków i żwiru, a tu i ówdzie wybrzeże piętrzyło się w malownicze skały. Jakież zdumienie ogarnęło jednak Godfreya, gdy nagle zobaczył lekką smugę dymu, wzbijającą się ponad drugiem zboczem ściany skalnej.

— Czyżby jednak nasi towarzysze? — wykrzyknął. — Nie, niepodobna!... Bo i czemuż byliby się wczoraj oddalili od zatoki i to o kilka mil? A może to jednak jakaś wieś rybacka, lub obóz ludności tubylczej?

Godfrey z zapartym oddechem śledził tę smużkę dymu, czy oparów, przez wiatr pędzoną ku zachodowi. Oczywista, że może też wszystko polegać na złudzeniu optycznem... Jakoż po upływie kilkunastu minut, rzekomy dym, czy opary, rozwiały się bez śladu, pozostawiając gorzkie rozczarowanie. Znów nadzieja okazała się zwodniczą!...

Po raz ostatni Godfrey ogarnął okiem całą przestrzeń. Nie dostrzegłszy jednak niczego, na ziemi ni na morzu, osuwając się i zstępując ze stromej ściany skalnej, znalazł się wreszcie na równym gruncie i przez las podążył z powrotem. Po jakiejś godzinie był znów u skraju wybrzeża.

Tu czekał Tartelett w otoczeniu swych czworonogów i drobiu. Jakiemu zajęciu oddawał się uparty profesor? Ciągle temu samemu! W prawej ręce trzymał jedno drewno, w lewej drugie i tarł a tarł z zapałem godnym lepszego wyniku.

I tego przedpołudnia Godfrey i Tartelett musieli poprzestać na chudej strawie, bo oprócz ślimaków i surowych jaj nie mieli żadnego innego pożywienia.

— Bardzo zdrowy wikt! — kilkakrotnie powtarzał Godfrey, lecz Tartelett był innego zdania, i prawie że nie tknął tej zachwalanej uczty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Z doliny łez.

(Obrazek z życia wiejskiego).

Jędrzej z Doliny był gospodarzem nielada. Gospodarstwo jego składało się z jednego morga pola, z chaty o dwóch oknach, krowiny, czterech kur, żony no i siedmiorga dzieci. Ale że to Jędrzej był cieślą doskonałym, jeździł w różne strony za belkami i zarabiał grubo, to życie płynęło mu, że i gospodarze mawiali nieraz:

— Niema to jak Jędrzejowi! Nie ma o nic turbacji, lepiej sobie żyje, jak my.

I często gęsto pożyczali u niego kilkanaście złotych. Ale niema nic stałego w tem życiu. Jędrzej uciął sobie nogę, wyleżał w szpitalu dwa miesiące, i przywlókł się pod jesień o kiju i proszonym chlebie do chaty bez grosza.

Nastały ciężkie dni dla Jędrzeja. Dzieci zaczęły chorować na szkarlatynę, a w dodatku przyszła sroga zima. Na życie i lekarstwa wydał ostatek oszczędzonych pieniędzy, a nawet poszła krowa i kury — i wszystkiego wkońcu zabrakło. Żona robiła mu wyrzuty, a Jędrzej milczał jak kamień. Było przy końcu zimy, na przednowku. Mróz jeszcze dokuczał, a w chacie Jędrzeja brakło obok pożywienia najważniejszej rzeczy, to jest drzewa. Zimno było okropnie w chacie, dzieci tuliły się do zimnego pieca.

— Dalej tak być nie może — wyrzekł Jędrzej — trzeba to raz skończyć!

Mówiąc to, porwał powróz i siekierę, zdarł kożuch z dzieci, zarzucił na ramiona i wybiegł z chaty. Nie czuł bólu w nodze, bo się już był wygoił. Szedł prosto w górę, w krzaki. Śnieg skrzypiał pod nogami, miljony gwiazdek iskrzyło się na śniegu. Ję-

drzej kroczył wśród krzaków, brnąc w śniegu. Wreszcie przystanął. Wrony zaczęły krakać złowrogo. Jędrzej spojrzał w górę i zobaczył suchą brzezinę, na której siedziały wrony. Zły duch zaczął mu szeptać do ucha:

— Trzeba raz skończyć! Żyć gorzej od psa, to szkoda. Już i tak niema wyjścia dla ciebie, nikt ci nie pożyczy. Żona spoziera, żebyś ino umarł, bo ma już innego oddawna. Ho, ho! żebyś ty był widział, co się tu działo, zaczem byłeś na Węgrzech!

— Brrr! w Imię Ojca i Syna — przeżegnał się Jędrzej — skąd mi takie myśli przychodzą?

— Co? czy niełatwo wydrapać się na brzezinę, zadzierzgnąć powróz na tym tu sęku, wrazić głowę w pętlicę i hup na dół! Będą się wrony dziwowały takiemu zuchowi, co śmiał wtargnąć w ich mieszkanie. Wiatr cię będzie kołysał, jak dziecko do snu. Zwykli śmiertelnicy stękają na łóżku, ale bohaterzy to umierają na koniu lub w falach morza. Ty tchórz! boisz się wyleźć na brzezinę!

Jędrzej jednym susem wydrapał się na brzezinę i zaczął przywiązywać powróz.

— Ej, a biedne dzieci chore! tu stoisz, a zabrałeś im kożuch! — mówi mu Anioł Stróż. — Powracaj prędko, rozpal ogień, bo dzieci pomarzną.

Jędrzej spuścił się na ziemię, zostawiając w górze powróz. Wrony darły się przeraźliwie.

Zły duch zaczął z innej beczki.

— Chrystus umarł na drzewie, a ty boisz się drzewa? Gdy umrzesz na drzewie, będziesz podobny do Chrystusa. On wszystkich woła do siebie, ty nie chcesz słuchać Chrystusa.

— W Imię Ojca i Syna! — Jędrzej klęknął i zmówił Zdrowaś Marja, potem powstał, popluł w ręce i począł rąbać brzezinę. Wrony tłukły się ponad głową, robiąc łoskot złowrogi, a zły duch krzyczał mu w ucho:

— Złodziej! złodziej! Siódme: nie kradnij! Jak się pokażesz w kościele? Tyś nigdy nic nie ukradł, a teraz się bierzesz do grubych rzeczy? Śmiertelny to grzech!

Brzezina przewróciła się, jakby stęknęła. Złodziej Jędrzej migiem porwał za powróz, zaciągnął ją ku chacie i porąbał. Wkrótce buchnął na kominku wesoły ogień, dzieci zaczęły wyskakiwać koło ognia, wypędzając pół biedy z chaty. Ale Jędrzejowi ciągle zły duch szeptał:

— Złodziej!

Pomyślał chwilę i nagle twarz mu się rozjaśniła. Gospodarz, do którego należała brzezina, był ogromnym sknerą i skąpcem; człowiek bogaty, ale nieużyty dla biednego. Ale że dawniej na niedzielę chodził go Jędrzej golić, bo miał bardzo dobrą brzytwę, a ów Jan Kłoda, bo się tak nazywał, chciał ją zawsze kupić od niego. Wziął tedy brzytwę i ruszył do Kłody, postanawiając mu ją podarować za tę brzezinę. Trafił na dobry czas, bo Jan po półgodzinnem heblowaniu brzytwy na podartym pasku, zaczął się golić. Już przed domem Jędrzej słyszał trzeszczenie brody i syczenie Jana, golił się a raczej skrobał brodę bez miłosierdzia.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! a popiołu pod nogi. (Zwykłe przysłowie na wsi, gdy kto dawno nie był.) Niesiesz ta swój kozik, bo mnie ta gada skubie, jaze strach!




— E, bobyście se dawno mogli kupić inną brzytwę — rzecze Jędrzej, wyjmując swoją brzytwę.

Jan porwał ją i nic nie mówiąc, ogolił się.

— A to brzytwa — chwalił Jan — goli jak djament. Wiesz, to mi ją raz już sprzedaj. Wieleż za nią?

— A weźcie se! Ja już dziś wziął zapłatę — rzekł Jędrzej i opowiedział całą swoją biedę i przygodę z brzeziną.

Jan był okrutnie z brzytwy ucieszony, kazał parobkowi zawieźć Jędrzejowi furę drzewa, dał mu dwoje chleba, wyprowadził go przed chatę i dodał:

— Dobrześ zrobił, żeś się nie obwiesił na tej brzezinie, bo byłoby mi okropnie tamtędy chodzić — rzekł Jan i wsunął mu w rękę 20-złotówkę.

— Jak ta będziesz miał kiej, to mi oddasz — dodał.

Jędrzej rozmyślał, co się z Janem stało. Jeszcze nigdy taki szczery nie był. Gdy przestąpił próg swej chaty, dzieci wesoło śpiewały wraz z żoną.

Zły duch przegrał stawkę, ale czasem wygrywa.

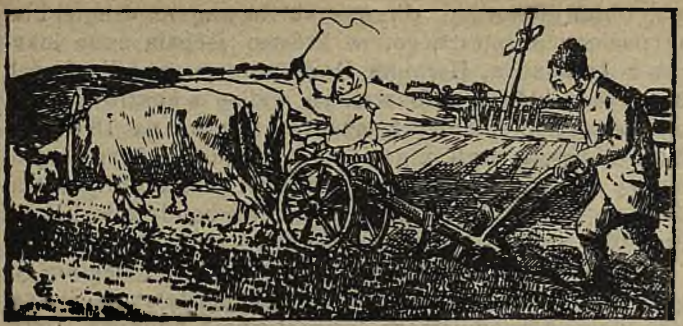
*Piotr Lipowiak.*

**Upór.**



Ja nie ustąpię!... Siły mam dość,
By targać łono twe niepłodne
I rzucać posiew. Na nic twa złość!
Muszę nakarmić dzieci głodne.
W twojej tkwi piersi przy głazie głaz,
Ty je w uśmiechu szczerzysz do mnie,
Ja nie ostatni, ni pierwszy raz
Druzgotać będę je niezłomnie!
Choć cię porasta pasożyt krzew
I kożuch zielska chroni ciebie,
Ja twoim chęciom postąpię wbrew
I chwastom wydrę cię dla siebie!
Czy grząskie błoto, czy sypki piach.
By plon dać mogły — zmuszę!... zmuszę!
Ty mnie nie ujrzysz przenigdy w łzach,
Choćbym przecierpieć miał katusze!
Muszę cię zdobyć choć mały skraw!
Czyż mam go szukać na obczyźnie?
Nie chcę, by miotał mną losu traf,
Nie chcę się ujrzeć na mieliźnie.
Nie pójdę przeto w daleki świat,
Tutaj się wolę w grób położyć,
Bardzobym tylko o, bardzo rad
Zwycięstwa mego jeszcze dożyć.
Wyłamię głazy, usunę gruz.
Poszarpię w strzępy sploty zielska
I wtenczas spocznę wśród białych brzóz,
Gdy chwastów spłoną wrogie cielska.
Wiele potrafię ja przetrwać prób,
Ty się nie oprzesz mej tężyźnie!
Choćby mię wkrótce utulił grób,
Prochem cię kości mych użyźnię!...

*Rec.*



# Poradnik gospodarczy.

**Przypomnienia pszczelarskie na marzec.**

Do chwili, gdy te słowa piszemy, pszczoły nasze jeszcze nie dokonały wiosennego oblotu. Pomimo dość łagodnej zimy nie było przecież ani jednego dnia, w którymby temperatura w cieniu podniosła się ponad 8 stopni ciepła, a takiego przynajmniej ciepła potrzebują pszczoły do oblotu. Może być, że nim te słowa dojdą do rąk naszych Czytelników, dzień taki już będzie i pszczoły dokonają już oblotu.

A chwila to, jak wiadomo każdemu z hodowców pszczół, bardzo ważna dla przyszłego rozwoju rodziny pszczelej. Pszczoły, obleciawszy się, wydały ze siebie nagromadzony kał przez całą zimę, stały się tem samem żwawszemi i ruchliwszemi, a więc chętniejszemi do pracy. Zaczyna się więc ruch w ulu. Jedne pszczoły czyszczą plastry w środku gniazda (na dalsze plastry nieobsiedzione nie idą, gdyż mogłyby zmarznąć), inne donoszą młodym gąsieniczkom pożywienie, inne sprawują inne czynności, a matka, widząc ten ruch i ochotę do pracy, również nie próżnuje, ale składa coraz liczniej jajeczka. Słowem życie w ulu zaczyna pulsować. Zdawałoby się, że w tym czasie rodzina pszczela znacznie się powiększa, a tymczasem tak nie jest; nietylko się nie powiększa, ale nawet pomniejsza. Bo jak obliczono, w lutym przybywa przeciętnie 200 pszczół w ulu, a ginie 500, w marcu przybywa 2.000, a ginie 5.000. Pień rozrasta się naprawdę dopiero w kwietniu, maju i czerwcu.

Cóż z tego wynika? Oto nic innego, jak to, że ubytek ten trzeba im sztucznie wyrównać. Oczywiście nie powsadzamy do ula much, aby tam pomagały pszczołom w pracy i wytwarzamy potrzebne ciepło. Do pracy pszczół nie braknie, ale może braknąć należytego ciepła do wygrzania młodych pokoleń. I to ciepło w marcu szczególniej, a nawet i w kwietniu, kiedy jeszcze noce są zimne, powinniśmy pszczołom zapewnić. I znów nie możemy wstawić do ula piecyka gazowego, bo ani miejsca tam na niego niema, aniby nic on pszczołom nie pomógł, lecz powinniśmy zapewnić to ciepło w ulu przez zwężenie gniazda do 5, 6 a najwyżej siedmiu ramek; ramki trzeba zastawić deseczką odgrodową, a poza nią dać matę słomianą, a gdyby maty nie było, to próżną przestrzeń pomiędzy deseczką a zatworem wyścielić słomą, zatwór dobrze zatkać, a gdyby znajdowała się między nim a ścianą ula jakakolwiek szpara, trzeba ją dobrze utkać, lub gliną zalepić.

Ciepłe trzymanie uli z wiosną ma dwa cele. Po pierwsze ułatwia szybszy rozrost rodziny pszczelej, po drugie zapobiega zaziębieniu czerwiu. Zdarza się bowiem, że przyjdzie wczas z wiosną kilka dni cieplejszych, zacznie się żwawy ruch i praca w ulu, matka czerwi, jak „najęta" i zaczerwi znaczną powierzchnię plastrów. Pszczoły cieszą się, że im przybywa siostrzyczek. Ale nagle następują dni chłodniejsze, biedactwa nietylko gąsieniczkom w komórkach nie mogą zapewnić należytego ciepła, ale same trzęsą się od chłodu. Chcąc uniknąć niechybnej śmierci, skupiają się coraz bardziej w jedną gromadę, a odleglejsze części plastrów zaczerwionych pozostawiają niezakryte. Wskutek tego znajdujące się tam gąsieniczki i poczwarki, giną od zimna. Strata niepowetowana. Ale to jeszcze nic! Gdy wkrótce nadejdą znów dni cieplejsze, gdy pień jest dość silny to czasem zdoła oczyścić zanieczyszczone plastry i doprowadzić wszystko do porządku, ale gdy zimna potrwają dłużej, gdy pień słaby, to potem nie zdoła się uporać z nieczystościami, wszystko gnije w plastrach i cały pień zapada na straszną pszczelą chorobę, zwaną gnilcem, przed którym najradykalniejszym ratunkiem jest spalenie całego pnia razem z pszczołami i wszelką robotą. Takie zaziębienie częściej się zdarza w przereklamowanych ulach amerykańskich, rzadziej w słowiańskich. I całkiem naturalnie, bo w ulach słowiańskich, gdy pozostawimy 5 do 6 ramek z wiosną, a ramki te otulimy matami, to powstanie w ulu słup wysoki, ale o niewielkiej podstawie. Pszczoły z łatwością potrafią ten słup przedzielić na dwie części, odłączając część gniazdową od części niezaczerwionej, przez co w części zaczerwionej łatwiej im utrzymać należytą ciepłotę. Tymczasem w ulu amerykańskim podstawa gniazda pszczelego jest bardzo obszerna, więc pszczoły nie mogą jej podzielić na dwie części, wskutek czego w ulach tych częściej zdarza się zaziębienie czerwiu, trudniej w nich z wiosną utrzymać należytą ciepłotę i trudniej doprowadzić do szybkiego rozrostu pnia. Nie przeczymy, że w dalszej gospodarce w lecie ul amerykański pod niektórymi względami przewyższa ul słowiański, ale znów nie tak bardzo, aby go wynosić pod niebiosa, a słowiański potępiać zupełnie.

Mniejsza jednak z tem, jakie kto ma ule, jakiekolwiek ma, to niech pamięta, że najpierwszym warunkiem pomyślnej gospodarki pszczelej jest ciepłe trzymanie pszczół przez całą wiosnę, niemal aż do połowy maja. W zimie, gdy tylko pszczoły mają co jeść, nawet największe mrozy nic im nie zrobią, ale na wiosnę, brak ciepła może je zupełnie zniszczyć.

Ponieważ na wiosnę najwięcej potrzebują pszczoły pokarmu dla wyżywienia przyszłych pokoleń, więc też przy sprzyjającej ciepłocie należy ule zbadać, a gdyby tam nie było miodu, albo było go mało, trzeba natychmiast pszczoły dobrze podkarmić. Za kilogram syropu dany na wiosnę oddadzą nam w lecie pszczółki 10 i więcej kilogramów czyściutkiego miodu.

# Poradnik lekarski.

**Rany.** Wszelkie okaleczenia należy utrzymywać w jaknajwiększej czystości, obmyć przegotowaną wodą; na palcu zalepić kawałkiem czystego papieru, błonką z jaja, lub bibułką; większe należy zlepić przylepcem, lub nawet zeszyć. Ból uśmierzają najlepiej okłady z zimnej wody. Środkiem zapobiegającym ropieniu są ciepłe okłady z rumianku, lub słabego roczczynu octu.

**Ukąszenie owadu** (osy, pszczoły). Należy wyjąć żądło i rankę wycisnąć, robić okłady z cytryny, zimnej gliny, mleka, wcierać sok cebuli, smarować cały członek oliwą.

# KRONIKA.

**Z Sejmu.** Prace Sejmu polskiego posuwają się naprzód. Na kilkunastu posiedzeniach plenarnych uchwalono dotychczas budżet na rok 1931/2, ratyfikowano kilka umów handlowych z różnemi państwami, a obecnie przystąpiono do obrad nad zmianą Konstytucji. Do najważniejszych zmian, jakie przyjęto w budżecie, należy uchwalona na wniosek klubu BBWR obniżka dyjet poselskich o 15 procent, oraz upoważnienie rządu do takiej samej obniżki wszystkich pensyj urzędniczych w razie koniecznej potrzeby dla utrzymania równowagi budżetu. Ten ostatni wniosek przeszedł w myśl życzenia stronnictw chłopskich. Bardzo ważny projekt wniósł też klub BBWR. a mianowicie o przyznanie pensji starcom, niezdolnym do pracy, bez względu na ich stanowisko społeczne. W razie uchwalenia tego wniosku, w co wątpić nie należy, starcy, sterani pracą, będą mieli w przyszłości zapewniony kawałek chleba. Wniosek o zmianę Konstytucji po pierwszem przeczytaniu go na plenum Sejmu odesłano do komisji konstytucyjnej, gdzie w ubiegłym tygodniu rozpoczęto nad nim obrady.

**Zjednoczenie stronnictw ludowych.** Jak wiadomo, stronnictwa ludowe „Piast", „Wyzwolenie" i „Stronnictwo chłopskie" połączyły się na terenie Sejmu do wspólnej walki z rządem, przyczem postanowiono zarazem, że takie połączenie ma nastąpić również w całem państwie. W tym celu stronnictwa te zwołują na dzień 15 bm. tak zwany mały kongres z 150 delegatów, t. j. po 50 z każdego stronnictwa. Gazety codzienne nie przepowiadają jednak temu Zjednoczeniu wielkiego powodzenia, twierdząc, że trudno przypuścić, aby członkowie statecznego i owianego duchem chrześcijańskim „Piasta" chcieli przez dłuższy czas pracować z członkami stronnictw radykalnych, jak „Wyzwolenie" i „Stronnictwo chłopskie", które to stronnictwa mają w swych programach walkę z Kościołem i wywłaszczenie wszelkich majątków bez odszkodowania. Dodają przytem, że połączenia takie już były, ale jak prędko przyszło do nich, tak prędko się rozleciały. Przewidują też, że w razie dłużej trwającego takiego zjednoczenia, popowstawałyby na miejsce zjednoczonych stronnictw nowe, któreby się temu Zjednoczeniu nie poddały.

**Nowe gatunki papierosów.** W najbliższym czasie ukażą się w handlu 4 gatunki nowych papierosów. Ceny nowych wyrobów będą następujące: Papieros „Obstalunkowy" kosztować będzie 7 groszy, „Egipski przedni" 10 gr., „Syrena" 12 gr., „Tatry" 6 gr. Z wymienionych gatunków „Obstalunkowe" i „Syrena" przystosowane są do gustu palaczy dawnych papierosów rosyjskich, zaś „Egipskie przednie" i „Tatry" znajdą zbyt na terenach zachodnich państwa oraz w Małopolsce.

**Włamanie do sądu w Brzesku.** Dnia 4 b. m. około godz. 2 w nocy dokonano włamania do kasy sądu powiatowego w Brzesku, skąd skradziono gotówkę w kwocie 1.238 zł. Po okradzeniu kasy sądowej włamywacze dostali się do lokalu Kasy Zaliczkowej. Tu jednak natrafili niespodziewanie na przeszkodę w postaci dzwonków alarmowych. Spłoszeni alarmem bandyci poczęli uciekać. Chcąc powstrzymać pościg, jeden z bandytów dobył rewolweru i oddał szereg strzałów w kierunku ścigających go przedstawicieli służby bezpieczeństwa. W odpowiedzi na to st. post. Moskalczuk strzelił z karabinu służbowego, kładąc strzelającego bandytę trupem na miejscu. Przy zabitym znaleziono całą skradzioną w sądzie gotówkę, rewolwer i narzędzia do rozpruwania kas. Policja wszczęła energiczne dochodzenia w kierunku ustalenia nazwiska zabitego oraz pochwycenia dwu zbiegłych bandytów.

**Napad rabunkowy w pociągu.** Na linji kolejowej Lublin-Rozwadów-Przeworsk do wagonu drugiej klasy pociągu pospiesznego, w którym jechała żona lekarza z Jarosławia, Hermina Grabsteinowa, wpadło dwóch bandytów, którzy zrabowali jej walizę z kosztownościami wartości 8 000 zł. i książeczkę kasową na 18 000 zł. Bandyci wyskoczyli z pociągu w biegu. Na krzyk ograbionej zatrzymano pociąg i jednego z bandytów zdołano ująć, drugi z łupem zbiegł. Ujętym bandytą jest Hirsz Spindler, znany złodziej kolejowy

**Napad na pocztę w Starzawie.** W ubiegłym tygodniu dokonano napadu na urząd pocztowy w Starzawie, pow. dobromilskiego, ostrzeliwując budynek. Urzędniczka Bujakówna otworzyła okno i poczęła ostrzeliwać napastników, zmuszając ich do ucieczki. W czasie wymiany strzałów zabity został wartownik gminny, który zbliżył się do budynku, usłyszawszy strzelaninę. Na miejsce wypadku przybył sędzia śledczy. W wyniku dochodzeń policyjnych napad przedstawia się następująco: Napadu dokonał wydalony ze służby woźny urzędu pocztowego Titiak w Starzawie w celu wywarcia zemsty, dobrawszy sobie 3 miejscowych osobników, Antoniego Czerkiewicza oraz Mikołaja i Stefana Milczenków. Udało mu się w nocy z 28 na 1 marca podejść pod budynek urzędu pocztowego, poczem przez okno oddał do mieszkania kierowniczki poczty Apolonji Bujak kilka strzałów w kierunku jej łóżka. Strzały chybiły, a sprawcy zbiegli. Bujakówna, obudzona strzałami, podeszła do okna z rewolwerem w ręku, a widząc o kilka kroków od okna jakiegoś osobnika, dała w jego kierunku strzał. Zabitym okazał się wartownik gminy Stanisław Telesz, który na odgłos strzałów pospieszył pod budynek poczty. Wszystkich czterech sprawców napadu policja aresztowała.

**Tragiczna śmierć nauczycielki.** W realności przy ulicy Stryjskiej we Lwowie. mieszkała Helena Wiśniewska, licząca 35 lat, była nauczycielka gimnazjalna. Kiedy Wiśniewska przyrządzała sobie obiad na kuchence gazowej, w chwili, gdy stała przy kuchence o płonącym gazie, nagle dostała ataku sercowego. Wskutek tego Wiśniewska omdlała i ciałem swojem zwaliła się na kuchenkę. Prawdopodobnie zakończyła momentalnie życie, a że piersiami spoczęła na płonącym gazie, poczęła na niej palić się sukienka. Płomienie objęły całą także jej głowę Twarz zwęgliła się, zaś włosy zupełnie spaliły się, Przypadkowo tylko domownicy zauważali, że Wiśniewska płonie i pospieszyli z pomocą, lecz bezskutecznie. Na polecenie lekarza miejskiego zwłoki Wiśniewskiej, tak tragicznie zmarłej, odstawiono do Instytutu medycyny sądowej.

**Aresztowanie oszusta.** W Krasnem koło Złoczowa policja aresztowała Stefana Melznera, byłego agenta domu komisowo-handlowego St. Prokopski i Ska w Mysłowicach, który po zwolnieniu go z posady, przybył na teren województwa tarnopolskiego, gdzie dokonał na własną rękę wiele zamówień na rachunek firmy St. Prokopski i pobrał znaczniejsze sumy pieniężne na rachunek zamówień. Melzner, decyzją sądu w Złoczowie, osadzony został w więzieniu. Dalsze śledztwo w toku.

**Zabójstwo na drodze.** Najaki Józef Dąbski, liczący 23 lat, zamieszkały w Radłowicach, w pow. samborskim oraz Jan Woroniak, liczący 18 lat, dokonali na szosie Radłowice-Sambor zbrodni zabójstwa na osobie Włodzimierza Czajkowskiego z Kulczyc. Czajkowski przewieziony do szpitala zmarł niebawem. Napad był aktem zemsty osobistej. Dąbski został przytrzymany, za Woroniakiem zarządzono poszukiwania.

**Eksplozja granatu.** Szymon Ubacz znalazł w Kopyczyńcach na ulicy Husiatyńskiej zapalnik od granatu

ręcznego i w czasie manipulowania spowodował eksplozję, wskutek czego odłamki zapalnika oberwały mu trzy palce od lewej ręki.

**Samobójstwo starca.** W Horodence znany był powszechnie jako ponoć niezawodny znachor i wróżbita niejaki Grzegorz Pauczak. 81 letni ten starzec, reemigrant z Ameryki, cieszył się wielkiem wzięciem wśród wiejskiej ciemnoty, sam jednak nie był zapewne zupełnie zdrów na umyśle, bo onegdaj bez żadnej widocznej przyczyny skoczył do głębokiej studni i, rzecz prosta, poniósł śmierć mimo natychmiastowego ratunku.

**Żona pobita przez nieboszczyka męża.** Tragikomiczne wydarzenie miało miejsce w Rydułtowach. 35-letnia żona górnika Mastka, mając młodego przyjaciela, postanowiła zgładzić zawadzającego jej męża przy pomocy trucizny, którą nabyła w tamtejszej aptece. Przewidujący cel nabycia trucizny aptekarz dał zbrodniczej kobiecie zamiast trucizny niewinny środek na pobudzenie apetytu, ostrzegając zarazem Mastka o zamysłach żony. Mastek po powrocie z pracy i spożyciu wieczerzy zręcznie symulował, jakoby uległ otruciu i poniósł śmierć. Na tę chwilę czekała niewierna niewiasta, przywołując czekającego kochanka. W kulminacyjnym punkcie układania horoskopów na przyszłość „zmartwychwstał" nagle uśmiercony mąż i sprawił tęgie lanie swemu niedoszłemu następcy, który z trudem ocalił życie, uciekając przez okno. Gorzej skończyło się z małżonką Mastka, którą w ciężkim stanie przewieziono do szpitala.

**Bandyta w kobiecem przebraniu.** Niezwykłe zdumienie ogarnęło Wańkę Huberta, zamieszkałego w Szarleju na Górnym Śląsku przy ul. Karola Miarki, gdy po powrocie z pracy zastał drzwi swego mieszkania zamknięte. Na silne pukanie nikt nie odpowiadał. Głos jego i wszelkie wołania pozostawały bez odpowiedzi. Wańkę tknęło jakieś złowieszcze przeczucie, bowiem wrócił z pracy już o zmierzchu, a więc w porze, gdy żona z dzieckiem zawsze była w domu, czekając na niego z wieczerzą. Zrozpaczony wyważył drzwi i oczom jego przedstawił się okropny widok. W mieszkaniu na podłodze leżała ze skrępowanemi paskiem rękami i nogami jego żona Elfryda, mając usta związane ręcznikiem. Obok niej leżało ich czteroletnie dziecko również zupełnie skrępowane z zakneblowanemi ustami. Mąż rozplątał natychmiast żonę i dziecko z więzów i po chwili, gdy już Wańkowa ochłonęła z przerażenia, opowiedziała mężowi niesamowitą historję, którą przeżyła tego wieczoru. O godzinie 6 wieczorem przyszła do mieszkania jakaś kobieta po wiejsku odziana. Jak się później okazało był to atletycznej budowy mężczyzna, przebrany w szaty kobiece. Osobnik ów przystąpił do Wańkowej i, zanim ta zdołała się zorjentować, sypnął jej w oczy jakimś białym proszkiem, poczem skrępował ją paskiem i zawiązał usta ręcznikiem. To samo uczynił z dzieckiem. Po obezwładnieniu domowników bandyta spokojnie przeszukał całe mieszkanie, zabrał kosztowniejsze rzeczy oraz 960 zł. gotówką, zamknął mieszkanie na klucz, który zabrał ze sobą i uciekł bez śladu. Policja otrzymała dokładny rysopis bandyty i wszczęła za nim pościg. Zuchwały napad wywołał w Szarleju jak i okolicy zrozumiałe zainteresowanie.

**Niezwykły dowód miłości.** Miejscowość Koło pod Łodzią wstrząśnięta została niezwykłym wypadkiem. Syn miejscowego kupca, 17 letni Leon Gerstand, oblał sobie twarz witrjolem i stracił oko. Był on zaręczony z niejaką Heleną Weizmanówną, która przed paru miesiącami wskutek wybuchu maszynki spirytusowej straciła lewe oko. Gdy Weizmanówna po dłuższej kuracji wyszła ze szpitala zeszpecona, narzeczony zaczął nalegać na przyspieszenie ślubu. Dziewczyna chciała jednak zerwać zaręczyny, nie wierząc, aby Gerstand mógł ją dalej kochać. Chcąc dać narzeczonej dowód swej wiernej miłości, młody chłopiec postanowił podzielić jej los.

**Straszny czyn wieśniaka.** Mieszkańcy Konina wstrząśnięci zostali wiadomością o ponurej zbrodni, jaka miała miejsce we Wsi Wizek, gminy Nowe-Miasto pod Koninem. We wsi tej zamieszkiwał wdowiec 46 letni Władysław Możal z dwiema córeczkami 9 letnią Janiną i 4 letnią Sabiną. Ponieważ brak gospodyni dawał się we znaki dobrze zaprowadzonej gospodarce, Możal ożenił się powtórnie. Pogorszyło to jednak sytuację, bowiem macocha znęcała się w nielitościwy sposób nad swemi pasierbicami. Możal stawał w obronie córek i z tego powodu pomiędzy małżonkami wynikały częste kłótnie. Kiedy Możalowa bez powodu pobiła obie dziewczynki, rozwścieczony Możal rzucił się na żonę z siekierą. Kobieta zdążyła jednak uciec z chaty. Wówczas Możal dopadł do córek i począł je masakrować siekierą. Gdy obie padły z rozpłatanemi czaszkami, Możal odrzucił od siebie zbrodnicze narzędzie i powiesił się na haku wbitym we framugę drzwi. W pół godziny po wypadku Możalowa zdecydowała się wreszcie powrócić do domu, gdzie ujrzała na podłodze pławiące się w kałuży krwi trupy obu pasierbic oraz wiszącego na haku męża. Możal już nie żył. Zwłoki jego i córek zabezpieczone zostały na miejscu do czasu przeprowadzenia oględzin sądowo-śledczych.

**Zuchwały napad na zagrodę wieśniaka.** Na zagrodę rolnika Kozłowskiego w Grodzisku pow. pleszewskiego dokonano zuchwałego napadu. Około godziny 8 wieczór, gdy rodzina rolnika Kozłowskiego, złożona z siedmiu osób, znajdowała się w mieszkaniu, wtargnęło do domu pięciu uzbrojonych bandytów. Zażądali oni wydania pieniędzy. Obecnych bandyci sterroryzowali wymierzonymi rewolwerami i okrzykiem „ręce do góry!" W następnej chwili padły trzy strzały, z których jeden ugodził gospodarza Kozłowskiego i ranił go ciężko w nogę, drugi syna Kozłowskiego, który natychmiast wyzionął ducha z powodu ciężkiej rany w głowę. Od pozostałych zażądali rabusie wydania pieniędzy uzyskanych za sprzedaż świń. Dwóch bandytów stanęło przed domem na czatach, a dalsi trzej przetrząsnęli mieszkanie, poszukując pieniędzy, uzyskanych ze sprzedaży świń przed tygodniem. Przerażonych domowników, przeważnie dzieci, bandyci zmusili do położenia się na podłodze twarzą do ziemi i zbili ich pałkami gumowemi i rękojeściami rewolwerów. Najdotkliwiej pobita została 20 letnia córka Kozłowskich Teodozja. Po zrabowaniu 30 złotych bandyci zagrozili, by nikt nie odważył się wszczynać alarmu względnie pościgu, bo inaczej grozi im zastrzelenie. Zbrodniarze pod osłoną nocy zbiegli niepoznani do lasu w kierunku Chocza w powiecie kaliskim. Natychmiast po ujawnieniu napadu, zjechali na miejsce w godzinach porannych prokurator sądu okręgowego w Ostrowie, komendanci powiatowej policji z Ostrowa i Kalisza, oraz kierownik wydziału śledczego w Ostrowie. Zarządzono natychmiastowy pościg za zbrodniczą bandą, której napad wywołał w całej okolicy przerażenie. W wyniku zarządzonego pościgu aresztowano kilku osobników, podejrzanych o napad.

**Kradzież dziecka.** Do jakiej pomysłowości dochodzą niektórzy oszuści i wydrwigrosze, świadczy następujący fakt, jaki niedawno miał miejsce w Grudziądzu. Oto doniesiono tam władzom o zaginięciu 3 letniej dziewczynki Genowefy Chmielnik, której dotychczas nie zdołano odnaleźć. Według twierdzeń, dziewczynka została uprowadzona przez niejakiego Wiktora Helmuta Roma-

nowskiego, który posługiwał się nią, jako przedmiotem swego zarobku w ten sposób, że chodzi po domach i podwórkach, udając nieszczęśliwego wdowca, wzbudzając litość mieszkańców. Gdzie w danej chwili znajduje się nikczemnik — niewiadomo. Zrozpaczeni rodzice proszą wszystkie osoby, któreby cośkolwiek wiedziały o ich dziecku, by dały znać do Wydziału śledczego w Grudziądzu, za pośrednictwem najbliższego posterunku policyjnego.

**Przygoda z niedźwiedziem.** W Gniewkowie koło Torunia w miejscowym cyrku jeden z atletów zapowiedział walkę z niedźwiedziem, pożyczonym od cyganów. Misia przywiązano do słupa, jednak atleta w ostatniej chwili stchórzył, ale postanowił zastąpić go kolega. Publiczność poczęła głośno objawiać swe niezadowolenie, czem ze swej strony przestraszył się niedźwiedź. Niezadowolony miś zerwał linę i wpadł między widzów. Powstała panika, publiczność poczęła się cisnąć do wyjścia, przyczem kilka osób zostało poturbowanych. Niedźwiedź tymczasem wyskoczył na ulicę i podążył do osady cyganów. Na ulicach pędzący niedźwiedź wywołał popłoch.

**Straszny dramat rodzinny.** W powiecie pińskim we wsi Kuchewska Wola kierownik szkoły powszechnej Edward Janasik popełnił samobójstwo, zabijając poprzednio swoją żonę i dwoje dzieci w wieku 2 i 4 lata. Żona i starsze dziecko zostały zabite z broni palnej. Młodsze dziecko i sam Janasik mają poderznięte gardła brzytwą. Na ścianie pokoju, w którym popełniono zabójstwo i samobójstwo, znaleziono wyryty napis: „Proszę nikogo nie winić". Starsze dziecko żyło jeszcze przez pięć godzin. Przyczyna zabójstwa i samobójstwa nie została ustalona.

**Zagadkowa zbrodnia.** Tajemnicza zbrodnia miała miejsce w Wilnie. Niejaki Boczkarow, wyjeżdżając z Wilna, pożyczył sobie od swego kolegi kilkaset złotych, przyczem wręczył mu klucze swego mieszkania z tem, że jeśli nie zwróci pieniędzy w pewnym terminie, ów kolega będzie mógł sobie zabrać wszystkie rzeczy, znajdujące się w mieszkaniu. Boczkarow więcej do Wilna nie wrócił. Gdy minął termin, przyjaciel udał się do mieszkania Boczkarowa i zaczął szukać przedmiotów, któreby wystarczyły do pokrycia jego wierzytelności. W czasie przerzucania rzeczy w walizce natrafił nagle na małą rękę kobiecą z pięknie polerowanemi paznokciami. Wszystko wskazuje na to, że ręka należała do kobiety z bogatszych sfer.

**Straszne odkrycie.** Według doniesień z Kowna stolica Litwy poruszona została wiadomością o strasznem odkryciu w piwnicy domu generała Plechawiciusa. Sąsiedzi od kilku lat utrzymywali, że w domu tym coś straszy i jęczy. Nie śmiano zwrócić się z tem do generała. Dopiero, gdy czasowo wyjechał, policja przeszukała dom i w piwnicy znalazła straszliwie wynędzniałą dziewczynę, przykutą do ściany, z kneblem w ustach. Knebel wyjmowano tylko wtedy, gdy przyjmowała jakiś nędzny pokarm. Gdy rzucała się na swoich dręczycieli, bito ją batogami. Okazało się, że jest to bratanica generała, Plechawiciusówna, która przed sześciu laty znikła z oczu ludzkich bez wieści. Ponieważ była ona nienormalna pod względem umysłowym, przeto przypuszczano, że błąka się po Litwie. Sędzia śledczy, prowadzący badania w tej sprawie, nakazał aresztowanie rodziny. Generał Plechawicius jest wybitnym mężem stanu Litwy. Organizował on przeciw Woldemarasowi spisek wojskowy. Potem był internowany we własnem mieszkaniu. Po uwolnieniu Woldemaras ofiarował mu placówkę dyplomatyczną, tymczasem jednak sam został pozbawiony władzy.

**Pożar willi Trockiego.** W Principo, w Turcji, spłonęła willa, w której zamieszkuje Trocki z rodziną. Pożar zniszczył całe urządzenie wewnętrzne mieszkania oraz bibljotekę zawierającą szereg cennych książek i rękopisów Trockiego. Zbiór korespondencji prowadzonej między Trockim i Leninem, ocalał. Uległy też zniszczeniu materjały do monografji o wybitnych politykach współczesnych, przygotowywanej przez Trockiego. Nie udało się ocalić rękopisów do pracy o Leninie i o armji czerwonej.

**Sowieckie manewry lotnicze.** W maju b. r. na całej zachodniej granicy sowietów odbędą się wielkie manewry lotnicze, w których ma wziąć udział około 600 samolotów lekkich i ciężkich. Eskadry lotnicze sowieckie mają ustalić długość lotu między Odessą a Leningradem. W manewrach wezmą udział hydroplany, mające wypróbować warunki lądowania na Dnieprze i Wołdze oraz na licznych jeziorach Rosji północnej.

**Układ morski.** W ubiegłym tygodniu przyszło do porozumienia między Anglją, Francją i Włochami w sprawie zbrojeń na morzu. Układ ten nie podoba się nadzwyczaj Niemcom, gdyż jest on wyraźnie przeciw nim skierowany. W ostatnich czasach Niemcy zaczęli coraz bardziej głowę podnosić, licząc na nieporozumienia między Anglją, Francją i Włochami, z których w przyszłości mieli nadzieję skorzystać, aby z całą zajadłością rzucić się na Polskę. Nie powiodło się im to i dlatego są wściekli.

**Niezwykły sen fakira.** W Paryżu bawił indyjski fakir, t. j. mędrzec i mnich, wtajemniczony w wiedzę bezwzględnego panowania nad własnem ciałem i zmysłami. Człowiek ten obudził wielkie zainteresowanie w paryskich kołach naukowych. Mianowicie położył on się obnażony na sofie, nabitej ostrymi gwoździami i długo spał. Przez cały czas nie przebudził się ani razu, nie przyjmował też ani pokarmu ani napoju.



Przy śpiącym dniem i nocą czuwali lekarze, którzy ściśle kontrolowali ten niezwykły popis wschodniego mędrca. Co jednak najdziwniejsze, że gęsto nabijane, ostre gwoździe zgoła nie uszkodziły ciała śpiącego. Jest to już sekret tajemnej wiedzy. Po wielu dniach fakir obudził się zdrów i na ciele nieuszkodzony. Nasza rycina przedstawia ten niezwykły sen.

**W sprawie wyjazdu robotników na roboty zagranicę** należy zwracać się listownie do Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy w Krakowie, ul. Lubelska (znaczka na odpowiedź nie załączać).

**Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.**

# RZECZY CIEKAWE.

### Wulkan rewolucyj.

Ameryka Południowa jest tą częścią świata, która poszczycić się może, wątpliwej zresztą wartości, sukcesem, a mianowicie: rekordową ilością rewolucyj. Rok bieżący, 1931, notuje na swoich kartach rewolucję taką w Panamie, gdzie w następstwie jej objął właśnie rządy prezydenckie prezydent Ricardo J. Alfare.

W związku z tem nie od rzeczy może będzie dać tu listę rewolucyj, jakie wydarzyły się w wieku dwudziestym, t. j. od roku 1900 na terenie całej Ameryki Południowej.

Lista to z rozmaitych względów ciekawa i pouczająca.

Na pierwszem miejscu znajduje się Meksyk. Wybuchały tu rewolucje w latach: 1900, 1901, 1902, 1903, 1904, 1905, 1906, 1907, 1908, 1911, 1913, 1914, 1915, 1916, 1917, 1919, 1921, 1922, 1923, 1925, 1927, 1928, 1929, 1930. Czyli, w ciągu 30 lat wydarzyło się tu aż 25 rewolucyj. Przeciętnie wypada jedna rewolucja na rok, a tylko wyjątkowo jedna na dwa lata. Z dotychczasowego stanu rzeczy wynikałoby, że jeszcze w ciągu roku bieżącego będziemy notowali znowu rewolucję w Meksyku. Może się też zdarzyć, że będzie nie jedna, ale i dwie rewolucje w roku.

Na drugiem miejscu znajduje się Guatemala. Tu wydarzały się rewolucje w latach: 1900, 1909, 1911, 1914, 1917, 1922, 2923, 1924, 1925, 1926, 1928, 1930. W ciągu 30 lat było tu więc 12 rewolucyj, przyczem tempo wybuchów jest coraz pośpieszniejsze. Podczas gdy przed wojną światową i jeszcze w toku jej trwania rozpiętość między jedną a drugą rewolucją bywała kilkuletnia, w ostatnich latach nasilenia rewolucyjne są szybsze i krwawsze.

Na trzeciem miejscu w tablicy tej znajduje się Paragwaj z 11 rewolucjami. Wybuchały one tu w latach: 1903, 1905, 1907, 1909, 1912, 1915, 1919, 1921, 1923, 1927, 1930. Jak z tego widać, tempo wybuchów jest tu ustabilizowane i równomierne. Rewolucja jest niejako instytucją perjodyczną.

Znacznie mniej rewolucyj wykazują: Equador i Boliwja, gdyż tylko po 7. W Equadorze notowane były rewolucje w latach: 1901, 1908, 1913, 1915, 1920, 1927, 1930: a w Boliwji w latach: 1904, 1907, 1914, 1917, 1925, 1929, 1930.

W republikach: Haiti, Honduras i Wenezuela wydarzyło się w ciągu ostatnich lat 30 po 6 rewolucyj. W Haiti w latach: 1903, 1917, 1919, 1924, 1927, 1930; w Honduras w latach: 1909, 1915, 1919, 1923, 1928, 1930; a w Wenezueli w latach: 1901, 1908, 1914, 1918, 1927, 1930.

W Peru było w tym okresie 5 rewolucyj t. j. w latach 1908, 1911, 1917, 1923, 1930. W Nikaragui w latach: 1902, 1913, 1926, 1929, 1930. W San Salwador w latach: 1912, 1918, 1926, 1928 i 1930.

Po 4 rewolucje odbyło się w Columbji: 1916, 1918, 1924, 1930; w Brazylji: 1900, 1925, 1927, 1930; w Panamie: 1907, 1912, 1930, 1931; w Costarico: 1915, 1919, 1924, 1930.

Po 3 rewolucje notują: San Domingo: 1907, 1923, 1930; Chile: 1925, 1926, 1930; Argentyna: 1908, 1929, 1930.

Tylko dwie rewolucje przeżyła Kuba w latach: 1912 i 1930.

Łącznie więc, na przestrzeni lat 30 odbyło się w Ameryce Południowej 122 rewolucyj.

Największa ilość rewolucyj przypada na rok 1930, gdyż 19. Ponieważ w Ameryce Południowej istnieje ogółem 20 republik, wynika z tego, że tylko jedna z nich nie przeżywała w roku ubiegłym tego szczęścia.

Tym unikatem jest republika Nikaragua. Stanowi ona zresztą jedyny wyjątek wogóle, gdyż tylko w tym kraju w ciągu całych ubiegłych 30 lat nie było ani jednej ruchawki.

Czegóż uczy ta statystyka?

Że ruchawki te nie muszą być bardzo krwawe, w przeciwnym bowiem razie, i tak niezbyt zaludnione kraje, stałyby się zupełną pustynią.

Że nie są one zbyt kosztowne, gdyż kraje te znajdowałyby się w absolutnej ruinie finansowej i gospodarczej, a tak nie jest.

Dowodzą dalej, że niema tu zbyt wielkiego poszanowania dla urządzeń prawnych ani dla rygorów społecznych, że nie poziom kulturalny, ani rozsądek polityczny, ale temperamenty i namiętności odgrywają tu główną rolę.

I, mimowoli, nasuwa się pytanie, czy propaganda imigracji polskiej do Ameryki Południowej, dość wytrwale w Polsce prowadzona, może być bez zastrzeżeń popierana?

### Losy Habsburgów.

Jak wiadomo, pierwszym monarchą z rodu Habsburgów był Rudolf I, ostatnim cesarz Karol I. Losy Habsburgów przez długie wieki były rozmaite; jedni dochodzili do wielkiej potęgi, inni borykali się z przeciwnościami, ale w każdym razie otaczał ich nimb rodziny panującej. Dopiero upadek Austrji zmienił zupełnie losy tej potężnej rodziny. Jedni utrzymali się na wyżynach, inni zaś spadli niemal na poziom szarego tłumu ludzkiego.

A oto losy niektórych z nich:

Arcyksiąże Leopold Salwator, niegdyś generalny inspektor artylerji, mieszka w Wiedniu, jako zwykły, niezamożny człowiek, obarczony liczną rodziną. Z dzieci tegoż arcyksięcia Leopolda Salwatora, córka jest nauczycielką w szkole powszechnej w Barcelonie w Hiszpanji, syn Leopold bawi w Ameryce, zajmuje się handlem. W Barcelonie mieszkają jeszcze inni Habsburgowie. Arcyks. Maks Habsburg, brat cesarza Karola, ożeniony z niemiecką księżniczką Hohenlohe-Schillingsfürst, mieszkał tu lata całe, jako hr. Wernberg, potem pracował w Madrycie w różnych przedsiębiorstwach handlowych, a obecnie jest znowu w Barcelonie urzędnikiem pewnej firmy budowlanej. Arcyks. Marja Teresa, żona arcyks. Karola Stefana z Żywca, mieszka stale w Wiedniu, ale dobra żywieckie zostały — jak wiadomo — utrzymane przy tej linji Habsburgów, za zgodą rządu polskiego. Dwaj synowie arcyksiążęcej pary z Żywca, umiejący dobrze po polsku, oraz dwie córki mieszkają w Polsce, a trzeci Wilhelm, t. zw. Wasyl Wyszywany, znany z swych sympatyj dla Ukraińców i ich kandydat na króla ruskiego, przebywa obecnie w Paryżu.

Słynny elegant wiedeński, arcyks. Eugenjusz, kawaler maltański, nie chciał złożyć przysięgi republice austrjackiej i przeniósł się do Szwajcarji. Tutaj ożenił się z pewną bogatą damą w Bazylei

i jest tam spólnikiem jednego z wielkich majątków.

W Austrji mieszka arcyks. Józef Ferdynand i dwaj jego bracia. Wszyscy złożyli przysięgę na wierność republice. W Wiedniu bawi arcyks. Józef Ferdynand, ożeniony obecnie z córką gen. Schlackenwötha; brat jego Henryk Ferdynand jest artystą malarzem w Salzburgu, a Piotr Ferdynand przeniósł się do Lucerny, jako hr. Wickwitz. Jednego z braci już dawno wyrzekła się rodzina za małżeństwo z aktorką. Jest to znany Leopold Wölfling, obecnie mieszkający w Mauer pod Wiedniem, jako ajent firmy, handlującej kawą. W Wallsee w Austrji przebywa cała rodzina arcyks. Franciszka Salwatora i jego żony Walerji, córki Franciszka Józefa. Są oni poddanymi republiki austrjackiej. W Wiedniu mieszkają synowie b. następcy tronu, zamordowanego w Serajewie. Noszą oni nazwisko matczyne Hohenberg, a siostra ich jest za hrabią Nostitz-Rieneck; liczą się wszyscy do bogatej arystokracji.

Prawdziwie sensacyjne są dzieje arcyksiężnej Elżbiety, córki arcyks. Rudolfa, a wnuczki cesarza Franciszka Józefa. Rozwiodła się ona z ks. Ottonem Windischgraetzem, wyszła zamąż za nauczyciela ludowego i wybitnego socjalistę austrjackiego, Leopolda Petzneka i sama jest czynną socjalistką. Jeden jej syn jest mechanikiem, drugi malarzem, a trzeci prawnikiem.

Część Habsburgów, t. zw. węgierskich, pozostała na Węgrzech i tym powodzi się doskonale. Arcyks. Józef ma tu majątek i wysoką pensję generalską, a jego syn Józef Franciszek również pobiera znaczną pensję wojskową z armji węgierskiej.

W Belgji przebywa wdowa po cesarzu Karolu I, Zyta, wraz z swemi dziećmi, a najstarszy jej syn Otto czeka na tron węgierski.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Łukasz Michałków** w B.: Wszystkie utwory, nie przeznaczone do druku, idą natychmiast do kosza, trudno nam więc uczynić zadość życzeniu. — **Halina z Żywca:** Obydwa wierszyki są dość poprawnie napisane — pod względem formy — ale brak w nich prawdziwej poezji. — **Franciszek Surówka** w W.: Wierszyk dobry. O ile miejsce pozwoli, zamieścimy go w następnym numerze. — **August Wasylecki** w T.: Wiersz pod względem formy poprawny, ale brak w nim prawdziwego polotu. — **Karol Wójcik** w Z.: W „Roli" jest tak dużo utworów drukowanych, że trudno nam tytuły wszystkich zapamiętać, a na przeszukiwanie nie mamy czasu. Jeżeli Pan nie posiada numerów z zeszłego roku, to może je Pan w każdej chwili nabyć w Administracji. — **S. S. ten z nad Wisły:** „Czyny gołębia" nie nadają się do druku. — **Wł. Mikusiak** w K.: Zagadki, gdy będzie miejsce, zamieścimy. A dlaczego pisze Pan na takich małych świstkach papieru? Wszak taki mały świsteczek najłatwiej zaginąć może. — **Krakowianin:** Wierszyk nieudolny. — **Józef Foryś:** „Nie wierz sroce" zadługie dla „Roli"; artykuł zachowamy, może się przyda. **Adam Podkulski** w P.: Humor niezły, ale z pisma ołówkowego w drukarni składać nie chcą, gdyż tracą nad tem dużo czasu. — **Stanisław Jucha** w K.: Wierszyki dość udatne, zachowamy je więc, a może się kiedyś pomieszczą w „Roli". — **Stanisław Poradecki** w M.: Za słowa uznania serdeczne dzięki. — **Edward Radomski** w K.: Węzę sztuczną zaraz na trzeci dzień otrzymałem; jestem z niej bardzo zadowolony, przypuszczam więc, że i pszczółki będą zadowolone. — **Karolina Kozikówna** w K.: Nie rozpaczaj, dziewczyno, dni udręki wnet miną! Gdy się wiosna rozkwieci, szczęście tobie zaświeci... — **Jakób Zabielski** w N.: Teraz właśnie jest najlepszy czas do przewożenia i zakupna pszczół. W każdym razie dobrze jest poczekać na pierwszy oblot, aby skontrolować siłę i dobroć pnia. — **Edward Cygan** w J.: Zupełnie taki sam utwór już eśmy czytali, nie możemy sobie jednak przypomnieć, kiedy i gdzie. Jest to rzecz bardzo dobra. Szkoda, że Pan nie podał autora, a chętniebyśmy skorzystali. — **Czytelnik Jan** w L. M.: O pracę trudno, zresztą nie mamy czasu na zajmowanie się pośrednictwem. — **Jacek Orlik** w S.: Wierszyki zupełnie dobre, ale wolelibyśmy coś prozą.

# Zagadki do nagrody.

### 1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Sowiźrał z J.).



Spółgłoska.
Zwierz dziki.
Miasto Prus.
Miasto rosyj
Nakryty.
Urocz. wieczór.
Sławny.
Zgrabność.
Imię męskie.
Auta.
Przywoływać.
Miasto w Niemcz.
Stopień woj.
Nazwa czasu.
Część świata.
Kraj w Azji.
Słabość.
Wykrzyknik.
Samogłoska.

Litery środkowego rzędu czytane z góry na dół, dadzą nam nazwisko powieściopisarza polskiego i tytuł jego dzieła.

### 2. Szarady.

I.

(Ułożył A. Zakielasz z R.).

Pierwsze trzecie w mej szaradzie nic nie [warte,
Bo tam tylko dwa zaimki są zawarte,
Zaś pierwsze drugie zawierają wiele
Są tym naszym sterem, który rządzi w ciele,
Niejednego w życiu nieustannie dręczą,
Duszę i serce gniotą mu i męczą,
Lecz silny duchem niemi się wzbogaca,
Niektóre zaś piękne ich sploty
Zbierane są w książkach pod tyt. „złote",
Drugie i trzecie drzewa owocowe,
Wszędzie znane, lubiane, swojskie, ogro- [dowe.
Całość jak drapieżne zwierzę
I w dzień i w nocy do lasu on bieży.

II.

(Ułożył St. Pawłasek z F.).

Pierwsze i pół drugiego zawód nieprzy- [jemny,
Trzecie czwarte w gimnastyce używana,
Drugie pół pierwszego głos zegara nie- [zmienny,
Całość osoba z powieści, w „Roli" niedawno [drukowana.

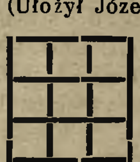
### 3. Układanki.

(Ułożył Józef Kawalec z T.).

Ciało lotne + lit. grecka = ?
Zaimek + pół doby = ?
Produkt mleczny + spółgłoska fon = ?
Spółgł. podwójna + zwierzę dzikie = ?
Spółgłoska fon. + duchowny żyd = ?
Pismo + samogłoska + część twarzy + spółgłoska = ?

### 4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Józef Kawalec z T.).



Żałoba.
Gniew w jęz. martw.
Niewolnik.

Wstawić w kwadraciki litery o podanem z prawej strony znaczeniu, aby powstał kwadrat magiczny.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 20 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 9 „Roli": 1. Logogryf: Tadeusz Kościuszko. 2. Szarady: I. Kapary. II. Armata. 3. Łamigłówka: Ciężar życia jest tylko znany. 4. Bilety wizytowe: I. Generalny buchalter ziemskiego banku. II. Bufetowa mieszczańskiej kawiarni. III. Kapitan marynarki.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłała tylko p. L. Smagowicz z K., jej przypadła więc nagroda w udziale.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

### W Bolszewji.

— Jak żyjecie, Akadij Akakjewicz?

— Chwała Bogu, jeszcze żyję.

— Ciszej, bo jak jaki bezbożnik posłyszy, że Boga chwalicie, to napewno żyć przestaniecie.

### Przezorny.

Pod domem stoi pijany i wspina się na okno. Widzi to policjant i pyta:

— Co pan tu robi?

— Chcę się... do-dostać do ddommu...

— Dlaczego więc pan nie idzie przez drzwi?

— Uważa pppan... moja żona czeka z pewnością... na schodach z miotłą... niech szelma marznie ddo rana...



**Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy**

**w dniu 10 marca b. r.**

**Płacono za jeden kilogram żywej wagi:**

| | | | |
|---|---|---|---|
| Buhaje . | od 0·60 do 1·27 zł. | Jałownik | od 0·60 do 1·25 zł. |
| Woły . . | od 0·89 do 1·26 zł. | Cielęta . | od 0·83 do 1·60 zł. |
| Krowy . | od 0·55 do 1·15 zł. | Kozy i barany | 0·00 do 0·00 zł. |
| Nierogaciznę | 1·20 do 1·45 zł. | Nierogaciznę lżejszej wagi | od 1·50 do 1.90 |